

Rok XVII.

Nr. 3.

ROCZNIKI OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.



Kwartal III.



KRAKÓW.

Wydawnictwo i nakład Księży Misyjonarzy.

1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

- Z podróży wizytacyjnej Ks. Wizytatora, str. 161.
Z pracy misyjnej w Antwerpii, str. 173.
Cudowny Obraz P. Jezusa w Milatynie Nowym, str. 189.
Z podróży na Wschód, str. 198
Kronika, str. 212.
Ś. p. ks. Adam Więcek, str. 233.
Ś. p. Stefania Lewandowska, str. 236.
Ś. p. Teresa Janeczko, str. 239.
Zmarli Misyonarze, str. 240.
-
-

Prenumerata roczna **7 Kor.**, (**7 Mk.**); dla Ameryki **8 Kor.**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1911 pod adresem: Redakcja „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Obraz św. Wincentego

odbity światłodrukowo z oryginału, znajdującego się na Kleparzu.

Wielkość obrazu 34×44 cm, kartonu 50×65 cm.

Cena egzemplarza 1:20 Kor. (Mk.)

Obrazki małe, książkowe, sztuka 4 hal. (fen.),
100 sztuk 3 Kor. (Mk.)

Na liczne żądania wiernych, sprowadzają Księża Misyonarze

Wodę z cudownej grotty N. M. P. z Lourdes,

przez której pobożne użycie już tylu wiernych uzyskało zdrowie. Rozsyła się ją w litrowych butelkach w starannie opakowanych skrzynkach. Również można nabyć i Nowennę z opisem cudów N. M. P. w Lourdes.

Z podróży wizytacyjnej ks. Wizytatora w Brazylii

(odbytej 12/11 1910—18/3 1911).

Wskutek tego, że z poprzednich moich podróży do Ameryki podawałem *Rocznikom* sprawozdanie, wyrobił się już, jak się przekonałem, zwyczaj pod tym względem. Gdy bowiem nie chciałem o ostatniej podróży do Brazylii pisać, sądząc, że już te rzeczy Czytelników interesować nie będą, bo nie nowego napisać nie zdołam, przekonałem się, że już zakorzenił się zwyczaj i że zwyczaj łatwiej wprowadzić, jak go przerwać. Domagano się odemnie tego sprawozdania i dopytywano się o nie, a dziwiono się, iż się do tego nie poczuwam. Niema więc rady i zakorzenionemu zwyczajowi ustąpić muszę. Przy-
mus ten zresztą nie tak przykry dla mnie, gdyż świadczy, że nasza misya dla emigracyi budzi zawsze zainteresowanie wśród członków obydwóch rodzin św. Wincentego, co mnie tylko cieszyć może.

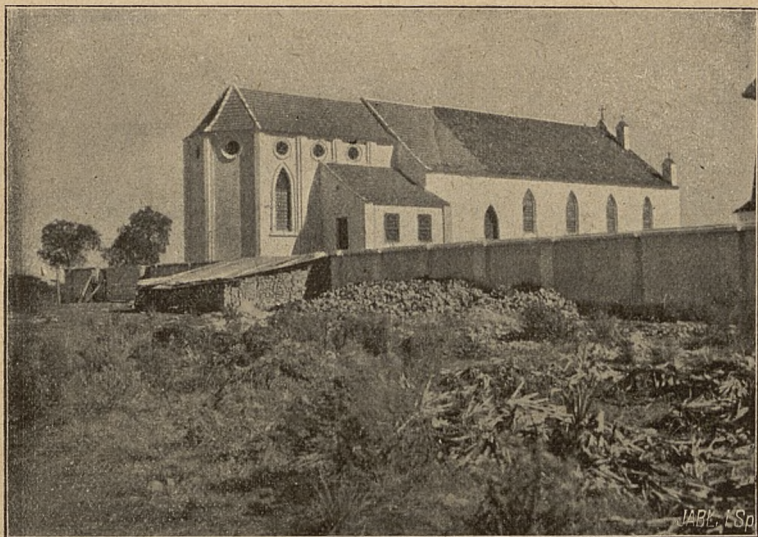
Dnia 26 listopada przeszłego roku, w samo upalne po-
łudnie, wylądowałem po 14 dniach podróży z Genuy w Santos. Podróż była pogodna i piękna, a w każdy dzień miałem na okręcie mszę św., to też na duchu i na ciele nie zmę-
czony wstąpiłem na ziemię brazylijską. Może i ta okoliczność przyczyniła się do tego, że nie czułem zdenerwowania na widok nagromadzonych w Santos żołnierzy brazylijskich o bar-
dzo wojowniczych minach, którzy tu czuwali, aby nie dopuścić do wylądowania załogi którego ze zbuntowanych w Rio de Janeiro okrętów wojennych, co rewolucją groziły Brazylii, a zbombardowaniem pięknej stolicy kraju. Na drugi dzień, po załatwieniu formalności z bagażami, wyjechaliśmy z ks. Chylaszkiem, który objął urząd mego anioła stróża na ziemi

brazylijskiej, do Sao Paulo, stolicy tegoż stanu. Jak śliczna jest ta 42 km. wnosząca ze Santos do S. Paulo droga którą się przebywa koleją żelazną linewkową, opisywały już niedawno *Roczniki*. Dnia 28 listopada obchodziliśmy przeszłego roku święto M. B. Cudownego Medalika. Miłym zbiegiem okoliczności odprawiłem w ten dzień mszę św. przed ołtarzem św. Wincentego w pięknym kościele Ks. Ks. Salezjanów w S. Paulo, którzy tam mają wielki zakład wychowawczy i szkołę rzemiosł.

Po południu puściliśmy się w drogę do Parany. Z S. Paulo do Kurytyby jest przeszło 800 km. Drogę tę przebywa się już dzisiaj koleją żelazną, a 2 razy w tygodniu jest połączenie wprost i „szybkie“. Przebywa się wtedy tę przestrzeń w 27 godzinach. To też 29 listopada o 7-mej wieczór przywitałem się już na dworcu w Kurytybie z konfratrami swoimi z domów położonych blisko tej stolicy, a nie długo potem spocząłem po podróży w Orleans u swoich.

Do połowy grudnia zabawiłem w domach naszych koło Kurytyby. Trzy te domy, Abranches, Orleans i Thomas Coelho, są położone w trzech koloniach polskich tejże nazwy, które pierścieniem zwartym złączone ze sobą otaczają Kurytybę od północy, zachodu i zachodniego południa. Abranches jest na północ, na zachodniej zaś stronie Orleans, z którym się łączy Thomas Coelho zwracające się ku południowi od Kurytyby. Półtóry godziny jazdy każdy z tych domów jest odległy od siebie wzajemnie, od Kurytyby zaś odległość Abranches wynosi 5 km., Orleansu 7 km., a Thomas Coelho 15 km. Dwie pierwsze kolonie swemi granicami wchodzą w przedmieścia Kurytyby. Wszystkie zaś trzy, to najstarsze polskie kolonie w Paranie; istnieją od lat mniejwięcej 36. Ponieważ pierwszym imigrantom dawał rząd brazylijski, jeszcze wówczas cesarski, daleko mniejsze działki gruntu jak dziś, bo tylko 12-to morgowe, więc kolonie te są gęściej zamieszkałe i nie tak rozległe. Później okazało się, że te działki gruntu są za małe, obecnie oddają więc kolonistom przestrzenie po 50 morgów (1 km. wzdłuż i 250 m. wszerz),

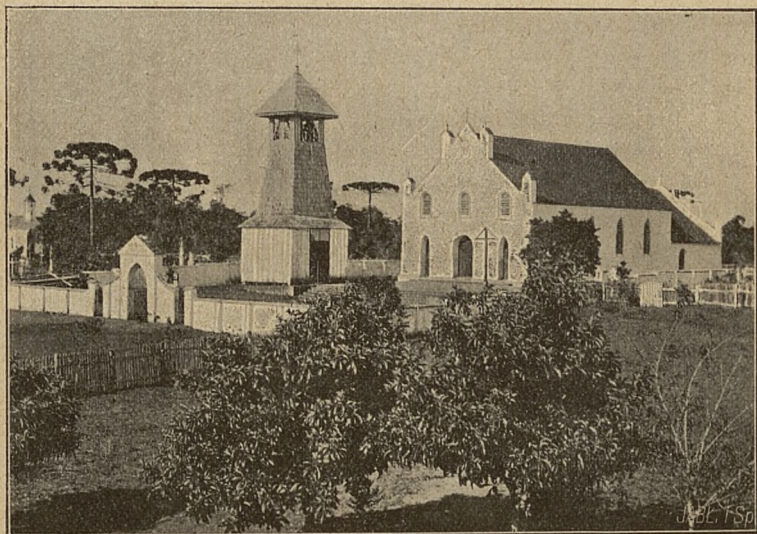
wskutek tego w późniejszych koloniach osady pojedyncze są więcej od siebie oddalone, bo każdy buduje się na swej części gruntu, a więc i kolonie są o wiele rozleglejsze. Tutaj warunki dobrobytu materialnego ludności osiadłej są najlepsze, bo są blisko stolicy Parany, która dziś ze swą blisko 60-tysięczną ludnością jest dobrym rynkiem zbytu dla produktów rolnych i jest węzłem kolejowym. Przez kolonie Abranches i Thomas Coelho (stacya: Bariguy) przechodzi



Kościół w Orleans (w obecnym stanie).

nawet linia kolejowa. Ludność tych kolonii, to przeważnie wychodźcy z Prus zachodnich i ze Ślązka, mała zaś część przybyszów z Galicyi jest w jednej części Thomas Coelho. To wszystko razem złożyło się na to, że dzisiaj kolonie te stanowią teren uprawą swoją przypominający naszą wieś, gdzie każdy prawie kawałek ziemi uprawiony i obsiany, mało zaś już stosunkowo zostało z dawnych dziewiczych lasów. Wielu bardzo z tych kolonistów zakupiło już i zakupują w dalej odległych, młodszych koloniach ładne działki ziemi

i tworzą nowe gospodarstwa, na których osadzają swych synów i córki. Wszędzie zaś u nich widoczny jest dobrobyt. Domy mają porządne, dobytek mają liczny i ładny. To też i wcześniej stosunkowo pobudowali kościoły i zaopatrzyli się w opiekę duchowną. Rząd wydzielając w nowych koloniach grunta kolonistom przeznaczał zawsze jeden dział (t. zw. szaker) pod kościół i plebanię. Najwcześniej pozyskała swego polskiego księdza kolonia Orleans, nazywana z początku Nowa

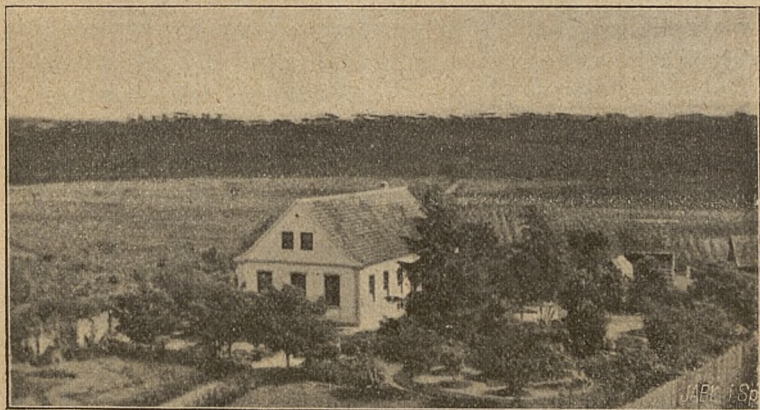


Kościół w Orleans (dawny) wraz z cmentarzem.

Polonia, w osobie ks. Przytarskiego, sekularyzowanego syna św. Franciszka, który w czasie kulturkampfu z Prus zachodnich do Parany się przeniósł. Stąd aż do powstania w 1893 samowładnie i z początku wyłącznie pasterzował polskiej owczarni rozsianej w Paranie. Później był proboszczem w S. Mateus, wreszcie w Rio Claro, gdzie obecnie mieszka prywatnie.

Orleans — to właściwie nazwa kolonii, która stanowi jedną część parafii. Kompleks całej parafii stanowi 12 kolonii mniejszych, z których Santo Ignacio liczy 69 rodzin,

a sam Orleans ma 40 rodzin¹⁾. Wszystkie te mniejsze kolonie łączą się ze sobą w jeden kompleks i liczą razem 465 rodzin (2574 dusz). Cały ten kompleks przyjął jako parafia nazwę Orleans, aczkolwiek kościół i plebania stoi na terytoryum S. Ignacio. W języku zaś ściśle urzędowym nadają całej parafii nazwę kolonii terytoryalnie największej Campo Comprido. Przez środek tych kolonii prowadzi trakt główny (droga kamienna, pełna wyboi) z Kurytyby do Campo Largo i w dalszym ciągu do Palmeiry, Ponta Grossy i Prudentopolis. Niedaleko kościoła są dwie szkoły: dla chłopców rzą-



Dom Księży Misyjonarzy w Orleans.

dowa, gdzie uczy polak p. Falarz (równocześnie organista), i szkoła dla dziewcząt, gdzie uczą od kilku lat Siostry Rodziny Maryi. Nadto jest szkoła w kolonii Dom Petro, także przez Siostry Rodziny Maryi prowadzona, i dwie inne szkoły, które to się otwierają to zamykają, o ile jest nauczyciel. Kościół murowany zbudowany bardzo licho, wybudował jeszcze ks. Przytarski, a przed kościołem, podobna do chińskiej pa-

¹⁾ Kolonia Boilatuvinha 19 rodzin, Dom Pedro i Campo Magro 119 rodzin, Riviere 34 rodzin, Ferrara 45 rodzin, Dom Augusto 46 rodzin, Campo Novo 10 rodzin, Campo Comprido 27 rodzin, São Domingo 24 rodzin, Figueiredo 30 rodzin. Poza obrębem tych kolonii należy jeszcze 6 rodzin do parafii Orleans.

gody, stoi drewniana dzwonica. Do cmentarza kościelnego przytyka cmentarz zmarłych; wszystko to otoczone murem. W kościele na licho zbudowanym chórze wcale ładny organ, sprowadzony z Europy kosztem 6000 milreisów (9000 kor.). Plebania oddzielona ładnym ogrodem od cmentarza jest murowana i wcale obszerna. To wszystko (oprócz szkoły w S. Pedro) zastali tu Konfratry, gdy w maju 1908 r. na wyraźne polecenie ks. biskupa Bragi przynagleni przez niego przybyli tutaj, aby objąć pracę duszpasterską. Zaczął tę pracę ks. Chylaszek, potem pomagał mu ks. Kołodziej, a obecnie ks. Komander. — Oprócz pracy duszpasterskiej zwyczajnej w obrębie tej parafii, Konfratry niosą pomoc w wycieczkach dalszych Polakom rozsianym po odległych o kilka dni drogi koloniach dalekich, gdzie nie mają kapłana lub gdzie kapłan pomocy Misyonarza potrzebuje. Tego rodzaju wycieczki robił ks. Chylaszek do dalekiej Nowej Galicyi, Legru, S. Mateus, Agua branca etc. Jak wspomniałem, kościół, acz murowany, zbudowany jest źle i na słabych fundamentach. Postanowili więc Konfratry zastąpić go innym. Wystawili już obecnie piękne, wysokie, dachówką kryte presbyteryum i kawałek nawy głównej; — i to połączone ze starym kościołem stanowi obecnie całość. Wkrótce jednak w miejscu starego kościoła ma stanąć w dalszym ciągu już obecnie zbudowanej części kościół nowy, który planowo będzie tworzył piękną harmonijną całość z obecnym presbyteryum, a na froncie piękna wysoka wieża zastąpi obecną drewnianą pagodę. Budowniczym, który planował i budował to, co zbudowane, i nadal planuje, jest ks. Chylaszek. Wewnątrz obecnie stoi wielki ołtarz prowizorycznie, który potem ma być bocznym ołtarzem, gdy nowy ołtarz sprowadzą z Europy. Po bokach ładne nowe stalle, przed ołtarzem dwa piękne klęczniki, posadzka szamotowa w deseń. W zakrystyi piękne szafy, a w nich nie pusto, całość robi wrażenie ładnie umeblowanego pokoju. To wszystko już dzieło Konfratrów. Ludzie rozradowani tem wszystkim i dumni ze swego kościoła, składają chętnie datki, aby w tem samym tempie mogła iść odbudowa nadal. — Gdym

w niedzielę widział, jak z najdalszych krańców parafii konno lub na wozach zjeżdżali się tłumnie nasi poczciwi rodacy do kościoła, jak nie mogąc się pomieścić stali ze skupieniem przed kościołem wystawieni na upał żaru słonecznego i brali udział w nabożeństwie, radowało mi się serce i dziękowałem Bogu, że powołał nas do pracy nad tym ludem i dał nam tę śliczną misję, aby krzepić w ich duszach tę tak im drogą wiarę i rozpalać te poczciwe serca miłością bożą. Miałem sposobność później widzieć i przekonać się, jak wygląda ten nasz poczciwy, biedny lud, gdy na tej obczyźnie rozpalony jest gorączką nabycia dostatku, pochłonięty troską o chleb powszedni, a otoczony obcymi, co dla wiary są obojętni, w tem wszystkim zaś pozbawiony jest swego kapłana, albo nie ma kapłana dobrego. Krajało mi się na ich widok serce, ścisnął je ból, że i tamtym równiej nie możemy nieść pomocy, i przepełniała je tem gorętsza dla Boga wdzięczność, że dał nam sposobność ratowania przynajmniej części tej naszej emigracyi.

O naszym domu w Abranches pisałem już po poprzedniej wizycie tamże ¹⁾. Podobnie jak Orleans, i ta parafia to kompleks kilkunastu kolonii, z których najliczniejszą jest Lamenia duża, licząca 120 rodzin. Abranches zaś samo liczy 76 rodzin ²⁾. Razem liczy ta parafia 431 rodzin, a 2438 dusz. Do tej parafii należała i kolonia Kandyda, licząca około 130 rodzin, gdzie jest także murowany kościółek. Kiedy nasi Konfratryzy objęli w roku 1906 Abranches, poprzedni proboszcz tamtejszy, zacny ks. Niebieszczański Leon, osiadł przy tym kościele filialnym w Kandydzie, gdzie ma ładną plebanijkę i szkołę, do której uczęszcza około 80 dzieci. — W parafii Abranches wielką pomocą w pracy misyjnej dla naszych Polaków są nasze Siostry Miłosierdzia, które tam mają szkołę.

¹⁾ *Roczniki* z r. 1907 str. 213. Widok kościoła w Abranches tamże strona 9.

²⁾ Inne kolonie są: Lamenia mała (47 rodzin), Cachoeira i Venancio (48 rodzin), Pilarsinho (26 rodzin), Pacatuba (32 rodzin), Butiatuba i Marmoleira (18 rodzin), Antonio Prado (48 rodzin), Boaxininga (6 rodzin).

Jest to najwzorowsza szkoła polska w Paranie. Nadto prowadzą one szkołę ludową i w Lamenui dużej, dokąd jedna ze Sióstr z Abranches dojeżdża. Pierwsze zaraz chwile mego pobytu w Paranie poświęciłem tamtejszym szkołom. Pod koniec listopada i w początku grudnia odbywa się w Brazylji zakończenie roku szkolnego, a potem następują wakacje jako w najgorętszej porze roku. W Abranches postanowiono egzamin po moim przyjeździe zaraz na dzień 1 grudnia. Ładne i pełne zrozumienia rzeczy odpowiedzi tamtejszych dzieci ucieszyły mnie bardzo. Po egzaminie nastąpił popis z gimnastyki i piękne przedstawienia. Rodzice dzieci licznie przybyli na egzamin i popis, a rozpromienienie i radość, jaka się malowała na ich twarzach, świadczyły, że umieją oceniać dobrodziejstwo, jakie im przynosi ta szkoła. Dzieci uczęszczało do niej w roku ubiegłym przeciętnie 105. Ze szkołą tą złączona jest szwalnia dla starszych dziewcząt, która nadzwyczaj zbawienny wpływ wywiera. W Lamenui dużej, odległej od Abranches mniejwięcej 1½ godziny drogi, był egzamin 3/12. Tutaj był nauczycielem ostatecznie kilka miesięcy ks. Wróbel, gdyż zabrakło sił potrzebnych Siostrom, i on także egzaminował dziatki, a potem dowodził gimnastycznymi ćwiczeniami. Winszowaliśmy mu wszyscy ładnych rezultatów pracy. Zacni koloniści, dla których ten dzień egzaminu w ich szkole był świętem wielkim, przyjmowali nas potem suto i serdecznie. Dzieci uczęszczało do szkoły przeciętnie 48. Utrzymuje tę szkołę swymi wysiłkami Towarzystwo św. Izydora, składające się z przeszło 30 kolonistów. Byłem jeszcze dnia 5/12 na egzaminie w szkółce kolonii Pacatuba. Kolonia ta najdalej wysunięta od kościoła w Abranches, nie wielka liczba jej mieszkańców na maleńką tylko zdobyć się może szkołę, w której nauczycielem jest kolonista Lipski, z całym poświęceniem przelewający wszystką swoją wiedzę w te 20 dzieci, jakie się w tej szkółce gromadzą. — Nadto istnieje w obrębie tej parafii jeszcze szkoła w Lamenui małej i Antonio Prado (odległe 15 km. od Abranches), utrzymywana staraniem Towarzystwa. W Antonio Prado istnieje

także kaplica, dokąd Konfratrzy zwykle raz na miesiąc dojeżdżają. — Parafia cała jest pod względem życia religijnego bardzo rozbudzona. Przeszło 8800 Komunii św. w r. 1910 świadczy o tem, jak nie mniej i dobrze się rozwijające Towarzystwo. Stowarzyszenie matek chrześcijańskich liczy 137 członków, Towarzystwo Władysława Jagiełły na Abranches, mające zadanie podobne do Towarzystwa św. Wincentego, liczy 78 członków. — Z wielką pociechą widziałem, że Dzieci Maryi, których pierwsze aspirantki przyjąłem przed 4 laty, rozwijają się dobrze i że jest ich obecnie przeszło 100. W uroczystość Niepokalanego Poczęcia przyjąłem znowu 30 młodzieńców do Sodalicyi, życząc im gorąco, aby się rozwinęli tak jak dziewczęta. — Kościół także w piękniejszej przedstawił mi się szacie, bo świeżo odmalowany i z ołtarzem Matki Boskiej Niepokalanej. Na wielki ołtarz nowy już są złożone pieniądze i jest zamiar sprowadzić go od Stufflessera z Tyrolu.

Thomas Coelho to najpierwszy punkt oparcia naszych Konfratrów po ich przybyciu do Parany w r. 1903. *Roczniki* nasze z r. 1904 i 1907 podały nam już o tej pierwszej placówce Misyonarzy liczne szczegóły¹⁾. Do parafii tej należy kolonia Thomas Coelho licząca 415 rodzin (2101 dusz) i Krystyna z Rio Verde i Lagoa Suja licząca 189 rodzin (1133 dusz). — Jak już wiadomo czytelnikom *Roczników*, w samem Thomas Coelho są 2 kościoły, odległe od siebie o pół godziny jazdy, w których regularnie nabożeństwa się odprawiają, t. j. kościół pod wezwaniem św. Michała, przy którym Konfratrzy mieszkają, i kościółek mniejszy pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny w części kolonii bliższej Araukaryi, zbudowane prawie równocześnie wskutek braku zgody między kolonistami co do miejsca, na któremby kościół stać należało. Obydwa murowane i schludne. Ten drugi, obecnie świeżo, bardzo gustownie wymalowany. Kościół św.

¹⁾ *Roczniki* z r. 1904 na stronie 21 i 159 podały ryciny tamtejszych kościołów i plebanij.

Michała zaś był w r. 1908 przedmiotem zaciętych ataków ze strony piorunów. Ledwie po pierwszym uderzeniu pioruna, który uszkodził wieżę, kosztem kilkuset milreisów szkody jego naprawiono, uderzył w listopadzie znów piorun w tę samą wieżę poraz drugi i spowodował większe jeszcze spustoszenia w wieży i wewnątrz kościoła. Znowu znaczne były koszty i dużo było trzeba pracy, aby ślady zniszczenia tego zatrzeć. Teraz nowe hełmy pokrywają obydwie wieże frontowe, 3 piorunochrony na wieżach i sygnaturce czyhają już zawsze na to, aby pochwycić zjadliwą iskrę, gdyby znów zniszczenie nieść kościołowi chciała; malatura ścian wewnątrz kościoła, o ile ją ten niszczyciel uszkodził, naprawiona, naprawiony już i palec u figury Zmartwychwstałego P. Jezusa, który piorun oderwał, a nawet Br. Aleksander ochłonął już całkowicie z przestrachu, jakim go przejęło to uderzenie pioruna i jego niszczycielska gospodarka w kościele, w którym wtedy właśnie on sam jeden się znajdował. — Pioruny te wogóle w ostatnich latach prześladowały jakoś naszych Konfratrów w Paranie.

W r. 1909 w poście odprawiali Konfratry połączeni siłami misyę w Araukaryi, parafii polskiej sąsiadującej z Thomas Coelho. Bardzo ta misya była tam potrzebna z powodu gwałtownie szerzącego się tam apostołstwa niewiary i pism nawet maryawickich. Sam ks. Biskup tę misyę tam zarządził. I otóż w pierwszy dzień misyi, w drugą niedzielę postu, tuż po sumie, na której misyę otwarto, ledwie lud wyszedł z kościoła, uderzył piorun w kościół i powybił okna i wewnątrz dużo szkody zrobił. Widoczne to było upomnienie dla parafii, ale nieszczęśni apostołowie niewiary, grupujący się koło „Polaka w Brazylii“, którzy się bardzo na tę misyę gniewali, używali tego jako środka reakcyi przeciw misyi, głosząc, że ci niedobrzy Misyonarze takie piorunne nieszczęścia za sobą niosą.

Życie religijne w Thomas Coelho jest znacznie rozbudzone. Z wielką pociechą widziałem w dniu powszednie dużo ludzi w kościele, a Konfratrów codziennie w konfesyjnie pracujących. W niedziele i święta obydwie kościoły upominają się natarczywie,

żeby je rozszerzyć, a zwłaszcza św. Michał, bo aż nazbyt wielkie gromady ludzi, co z daleka bardzo do kościoła przybyli, zmieścić się w ich zaszczupłych murach nie mogą. Myślą o tem Konfratry. Obecnie jednak całą forsą jęli się tego, by przygotować siedzibę i pole pracy dla Sióstr. Brak ich daje się tam odczuwać dotkliwie. W miejscu jest szkoła rządowa brazylijska, a więc nie polska, choć nauczyciel „Polak“, i bez religii. Na kolonii w kilku punktach są trzy szkoły polskie. W jednej z nich uczył stale z nadzwyczajnem poświęceniem ks. Steinsdorfer, podczas gdy inne miały tylko chwilowych, przygodnych „nauczycieli“. W Krystynie i Lagoa Suja funkcjonują polskie szkoły stale i dosyć dobrze. Odczuwa się więc wielki brak pracy podobnej, jaką w Abranches i w Prudentopolis rozwinęły Siostry. Szkoła, szwalnia i Stowarzyszenie Dzieci Maryi, które w tym roku z przybyciem Sióstr tamże powstaną, uzupełnią znakomicie tę 8-letnią owocną pracę Konfratrów naszych w tej najważniejszej polskiej kolonii. Z początkiem tego roku zakupił ks. Bayer piękny i obszerny teren, naprzeciw kościoła, na którym już z pośpiechem stawia szkołę i mieszkanie dla Sióstr, które tam da Bóg niebawem zjadą.

Jak już wspomniałem, czysto polska kolonia Krystyna z przyległemi koloniami (o ile są tam Polacy) o mieszanej ludności, Rio Verde i Lagoa Suja, należą także pod opiekę duchowną naszych Konfratrów z Thomas Coelho. Krystyna odległą jest od siedziby Konfratrów 4 mile, Lagoa Suja 5 mil. W Krystynie jest kaplica drewniana, nieźle zaopatrzona w aparata kościelne, którą obecnie myślą znacznie powiększyć. Raz na miesiąc dojeżdżają tamże Konfratry z nabożeństwem regularnie, oprócz bardzo licznych nadzwyczajnych ekskursyi. Dnia 13 grudnia wybrałem się w towarzystwie Konfratrów tamże konno i mogłem podziwiać po drodze te niedościgłe okiem przestrzenie, które przecie serce i gorliwość Misyonarzy obejmować musi. — A jednak w tych wielkich przestrzeniach, wobec których jest czasem pokusa zakładać bezradnie ręce, wielką jest dla nich otuchą to, gdy

stanąwszy na wzgórzu z jednej strony kolonii zobaczą ku północy na horyzoncie hen za Kurytybą białą wieżę z Abranches, z innego zaś wzgórza odsłoni się ich oczom ku zachodniej północy na tle ciemnego lasu czerwony dach kościoła w Orleans. Czują, że choć wielkie te przestrzenie, przecie ręki sobie podać mogą, a w takim splocie i na większe jeszcze przestrzenie starczy im ramienia. — A trzeba im dalej jeszcze sięgać! Na drugi dzień rano po mojej wycieczce do Krystyny, gdym w podobnych był pograżony refleksyach, stanęła przedemną deputacya Polaków z Kontendy, prosząc o ratunek. Kontenda to kolonia nad rzeką tejże nazwy, położona o 12 mil od Thomas Coelho na południe. Teren ów należy już do parafii brazylijskiej w Lapie. Liczba jednak Polaków w tej kolonii znacznie wzrasta, bo koloniści zwłaszcza z Thomas Coelho kupują tam coraz więcej dobre grunta, na których osadzają swe dzieci. Nie mając znikąd pomocy polskiego kapłana, zwracają się z ufnością do naszych Konfratrów. Od czasu do czasu robili oni za pozwoleniem ks. Biskupa wycieczki tamże. Kiedy i teraz koloniści dowiedzieli się, że jestem w Thomas Coelho, przybyli zaraz do mnie, prosząc o opiekę stałą. Obiecałem im na razie, iż co miesiąc Konfratry przyjeżdżać do nich stale będą, i zleciłem to Konfratom w Orleans i Abranches. Sam także u nich być obiecałem, ale niestety z żalem musiałem obietnicy nie dotrzymać, bo już mi potem czasu nie stało. W następnym bowiem dniu t. j. 15 grudnia rano opuściłem okolice Kurytyby i zapuściłem się w me dalsze i dalekie bardzo podróże, które mi zupełnie czas i siły pochłonęły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. K. Słomiński.

Z pracy misyjnej naszych Konfratrów nad polskimi wychodźcami w Antwerpii.

Jak w lecie przeszłego roku, jak to czytaliśmy w Rocznikach roku 1910 (Nr. IV. str. 270 — 288), tak i w ubiegłej zimie spieszyli Konfratry nasi z pomocą emigrantom polskim w Antwerpii, a po części także w północnej Francyi. Pracę tę opisuje nam ks. Góral w dwóch listach, które tu podajemy.

Antwerpia, 15 lutego 1911 r.

Z początkiem grudnia 1910 roku udał się ks. Bieniasz do Antwerpii z pomocą duchowną dla naszych emigrantów, którzy z tego portu wyjeżdżają do Ameryki północnej. Przed świętami Bożego Narodzenia objechał osady polskich robotników w północnej Francyi, wypowiedział ich, a następnie udał się do Paryża, gdzie święta przepędził.

Nie mogłem od razu towarzyszyć mu w tej podróży misyjnej, jak to było pierwotnie postanowione, gdyż musiałem ukończyć me wycieczki duchowe do niektórych domów siostrzeńskich ze spowiedzią kwartalną; dawałem nadto małe rekolekcyje dla zakładowych Dzieci Maryi w Rohatynie, a następnie w Choderowcach. W Krakowie, na Kleparzu, pomagałem w pracy rekolekcyjnej nad ludem, gromadzącym się w naszym kościółku; byłem kilka dni nawet i na Ślązku, w Załężu, z pomocą duchowną w słuchaniu spowiedzi w czasie misyi, którą dawali OO. Jezuici. — Wybrałem się ostatecznie z Krakowa po Nowym Roku i zdążyłem do Antwerpii, prawie równocześnie, kiedy ks. Bieniasz opuszczał Paryż, by znów po świętach na pierwotne pole pracy powrócić. Tak się bowiem ułożyliśmy listownie.

Wyjechałem z Krakowa 4-go stycznia, drogą na Berlin. W podróży zatrzymałem się tylko w Berlinie i w Kolonii. Nie chciałem bowiem i w drodze pozbawić się łaski odprawienia Mszy św.; w dodatku przypatrzyłem się jednemu i drugiemu miastu, choć ogólnie i pobieżnie, ile mi czas pozwolił. Ostawiona ulica pod lipami w Berlinie sprawiła na mnie wielkie rozczarowanie. Być może, że przez kilka lat oswoiłem się zanadto z olbrzymiemi lipami w Sokołówce tak, że tamte berlińskie już wrażenia na mnie nie sprawiły. Zwiedziłem także stare muzeum, zamek cesarski i objechałem niektóre piękniejsze ulice pruskiej stolicy.

Dnia 6-go stycznia rano, w uroczystość św. Trzech Króli, stanąłem w Kolonii, gdzie w słynnej katedrze spoczywają relikwie świętych Mędrców. W niej też odprawiłem Mszę św. Spodziewałem się tu wielkich uroczystości, licznych pielgrzymek i tłumów ludu, dążącego z sąsiednich katolickich wiosek do tych świętych relikwii w dniu tak pamiętnym, lecz znów spotkał mnie zawód i rozczarowanie!

Wspaniała wprawdzie katedra gotycka była pięknie oświetlona, uroczystą sumę celebrował sam kardynał-arcybiskup Fischer, w otoczeniu swego kleru, ale świątynia ani do połowy nie była wypełnioną. Wśród obecnej tam inteligencji i mieszczan mało było ludu; nikt również z księży nie spowiadał, bo zresztą i nikt do spowiedzi się nie garnał.

Dziwna ta oziębłość, czy obojętność niemiecka, co każdego Polaka tak bardzo uderza i razi.... U nas inaczej! Wystarczy popatrzeć na przykład na te tłumy naszego ludu w czasie odpustu w Milatynie lub w Kochawinie, jak gorącym sercem modli się do Boga, jak oblega całemi godzinami kofesyonały, by swe sumienie oczyścić.

W sobotę 7-go stycznia, stanąłem szczęśliwie na ziemi belgijskiej, w Antwerpii. Na dworcu oczekiwał mnie już ks. Bieniasz i ułatwił mi w ten sposób nieprzyjemne

dopytywanie się w obcym mieście o ulicę i numer mieszkania.

Odtań zaczęliśmy wspólną naszą dolę w pracy misyjnej wśród polskich emigrantów.

Pierwszym warunkiem, żebym mógł rozpocząć pracę wśród naszych wychodźców, było wystaranie się o *celebret* i o jurysdykcję dosłuchania spowiedzi. Udaliśmy się przeto do ks. Kardynała Mercier, rezydującego w Mechlinie, miasteczku, o kilka mil stąd odległym. Ponieważ dnia onego miał sesję z księżmi dziekanami, załatwiliśmy sprawę z jego sufraganem.

Miasto Mechlin znajduje się w kierunku Lowanium, gdzie ks. Konstanty Michalski kończył właśnie swe studia. Ks. Bieniasz zawiadomił go poprzednio o naszym przybyciu do Mechlinu i zapraszał, żeby również przybył i z nami się rozerwał bodaj przez kilka godzin. Usłuchał dobrej rady i przybył. Ucieszyliśmy się wspólnie rozmową i udzieleniem różnych obserwacyi i wrażeń, jakich się często doznaje między obcymi.

Gdym już miał potrzebną władzę, mogliśmy wspólnie pracować. Ułożyliśmy się w ten sposób, że jeden z nas spowiadał emigrantów przed południem, a drugi głosił im po południu słowo boże, we wielkiej sali jadalnej hotelu „America“. Z Antwerpii wyjeżdża tylko raz w tygodniu, w sobotę, okręt z pasażerami do Stanów Zjednoczonych i również raz, w środę, do Kanady. Tymczasem lud gromadzi się już kilka dni przedtem i czeka na odjazd okrętu w specjalnych hotelach emigracyjnych, których tu jest kilka. Największym z nich jest właśnie wspomniany hotel „America“. Jest to wielki, czteropiętrowy gmach, mogący pomieścić do 800 emigrantów. W nim też gromadzi się najwięcej samego ludu, któremu głosimy kazania. Objaśniamy i tłómaczymy w prostych słowach główne prawdy wiary świętej, o warunkach dobrej spowiedzi, o przygotowaniu się do Komunii św.; poruszamy i inne kwestye, ważne dla nich, jak czego mają się wystrzegać w Ameryce, jakie im tam za-

grają niebezpieczeństwa pod względem duchownym i t. p. Przez słuchanie spowiedzi generalnych i głoszenie nauk, można z pomocą łaski Bożej wiele dobrego zdziałać między tym ludem, który nieraz jest bardzo zaniedbany, zwłaszcza lud z Królestwa.

W hotelach emigracyjnych panuje wzorowy porządek, gdyż komisarz rządowy wraz z lekarzem zwiedzają je dwa czy nawet trzy razy tygodniowo. Tutejsi zresztą mieszkańcy mają wielkie poczucie ochędstwa. Starczy popatrzeć, jak na porządniejszych ulicach służba chodniki już nie zamiata, ale szoruje, używając do pomocy niekiedy i mydła. We wszystkich hotelach służba rozumie i umie rozmówić się po polsku. W hotelu „America“ było przez pewien czas nawet dwóch sług Polaków; obecnie jest jeden, który wychodźców codziennie prowadzi na Mszę św. do kościoła katedralnego i oprowadza po mieści. Wogóle emigranci krzywdy nie mają, owszem posiadają wygodne mieszkanie, dobry wikt, jakiego niejeden z nich i w święta nie widział u siebie dawniej.

Szkoda wielka, że nie możemy między nimi z braku kaplicy pracy duchownej należycie rozwinąć, jakbyśmy tego pragnęli. O budowie zaś kaplicy marzyć nie można, bo już samo miejsce pod nią kosztowałoby tysiące, a skąd wziąć funduszów na budowę? Nawet nie można na ten cel wynająć wielkiej sali, jak o tem pierwotnie myśleliśmy, gdyż trzeba by ją wydzierżawić na czas dłuższy, na kilka lat i zamienić na kaplicę, tak, żebyśmy mogli w niej Mszę św. odprawiać i Najświętszy Sakrament przechowywać. To również pociąga za sobą koszt wielki. Roczne wydatki wynajmu, utrzymania i obsługi wynosiłyby około 2.000 franków, na co pokrycia niema. Ruch zresztą emigracyjny jest największy na wiosnę (w marcu, kwietniu) i w jesieni (w październiku i listopadzie) w lecie i w zimie jest niewielki, dlatego zdaje się nie opłacałoby się tak wielkiego robić nakładu. — Szkoda, że długoletni nasz poprzednik, niejaki ks. Czajkowski, powstaniec i wygnaniec, który przeszło czterdzieści lat pracował

między tymi wychodźcami, nie pomyślał o tej tak ważnej sprawie.

Podobno zaoszczędził i złożył on znaczny kapitał, który się po jego śmierci dostał w zupełnie obce ręce, bo tutejszym Flamandom.

Zwykle raz, lub w razie potrzeby dwa razy w tygodniu, we wtorek i w piątek, w ostatnie dnię przed wyjazdem mówię w nauce do naszego ludu o nabożeństwie i czci do Najświętszej Panny, o Cudownym Medaliku, który każdemu wychodźcy wkładam. Przychodzą naturalnie i Rusini, nawet schizmatycy; pytają się, czy mogą ten medalik nosić. Odpowiadam, że tak. Przychodzi mi bowiem na myśl, że żyd Ratisbonne go nosił, a potem się nawrócił i ukochał Najświętszą Pannę synowską miłością, czemużby go nie mógł nosić schizmatyk lub protestant, tem więcej, że się nawet o to pyta?... Przecież Najświętsza Panna zapewniła w objawieniu, że łaskami obdarzy tych, co ten medalik nosić będą; może się więc i tu przyczynić do zbawienia niejednej duszy niewiernej. Miałem nawet wypadki, że schizmatyk chciał się spowiadać i przejść na katolicyzm. Pochwaliłem zamiar i odesłałem do księdza katolickiego w Ameryce, gdyż tu na to nie posiadam władzy, a zresztą, choćbym nawet miał władzę, nie przyjąłbym go, bo przybędzie między swoich w Ameryce czy w Rosyi, to żyć będzie jak dawniej.

W chwilach wolniejszych wychodzimy na miasto przypatrzeć się kościołom, ich cennym zabytkom i pamiątkom, jakie posiadają po dawnych mistrzach szkoły flamandzkiej. Tak n. p. olbrzymi kościół katedralny Najświętszej Panny (długi 117, szeroki 52, a wysoki wewnątrz do sklepienia 40 metrów) posiada obrazy Rubensa; we wielkim ołtarzu „Wniebowzięcie Najświętszej Panny“; w dwóch nawach krzyżowych „Zdjęcie Pana Jezusa z krzyża“ i „Podwyższenie św. krzyża“. Arcydzieła tego mistrza znajdują się i po innych kościołach Antwerpii; w kościele św. Jakóba nosi kaplica jego nazwę, gdyż tu znajduje się grób rodziny

Rubensów. Piękne obrazy innych mistrzów flamandzkich, jak Masysa, de Vosa, Van Dycka, Quelina, Jordaensa i wielu innych znajdujemy w kościołach i w drogocennem muzeum miejskiem, które posiada około 800 obrazów. Ołtarz wielki i zwykle także boczne są zbudowane z marmuru. Stale, ambona i konfesyonały są artystycznie rzeźbione; często jest to pamiątka po dawnych mistrzach. Okna zdobią kosztowne witraże. Posadzka zazwyczaj układana z białego i czarnego marmuru. Wieże kościołów gotyckich są zwykle niewykończone; katedra posiada dwie wieże, z których północna, wykończona, ma 123 metrów wysokości, a południowa wykończona jest tylko w trzeciej części projektowanej wysokości. We wieży znajduje się „gra dzwonów“ o rozległej skali, złożonej z 40-tu dzwonów i dzwonków, z których najmniejszy ma zaledwie 15 cali w obwodzie. Wieże jednak i „gra dzwonów“ nie należą już do zarządu kościelnego, lecz do liberalnego zarządu miasta, dla tego co kwadrans słyszy się z wieży kościelnej nie granie pieśni pobożnych, religijnych, lecz jakieś wyjątki z oper, arye, czy nawet tańce. Jest to charakterystyczny objaw tutejszych stosunków.

W pobliżu katedry znajduje się piękny, renesansowy ratusz, zbudowany w latach 1561 — 1565. Na frontowej stronie, u góry w niży, znajduje się statua Najświętszej Panny, Patronki miasta, a nieco niżej po prawej i lewej stronie alegoryczne figury, wyobrażające mądrość i sprawiedliwość.

Wielkie wewnętrzne sale ozdabiają wspaniałe obrazy flamandzkich malarzy.

Inne kamienice w starej dzielnicy miasta są zwykle zbudowane dla jednej lub dwóch rodzin miasta; jednopiętrowe lub dwupiętrowe domy, mające na każdym piętrze po dwa lub trzy okna, ze specjalnem wejściem. Często ostre szczyty dachów starych kamienic są zwrócone ku stronie frontowej, ku ulicy. Niemal na każdym narożniku ulicy starego miasta znajduje się statua Najświętszej Panny,

przed którą się często wieczorem pali lampa. W nowej zaś dzielnicy można podziwiać gust, przepych i bogactwo mieszkańców; są to podobno siedziby bogaczy, przeważnie milionerów. O bogactwie mieszkańców Antwerpii można i z tego wnioskować, że w mieście jest przeszło 20 różnych banków i kas oszczędności, a wszystkie się utrzymują i prosperują.

Na ulicach widzi się silne, barczyste konie, przewożące ogromne ciężary, paki i ładunki z okrętu do magazynów i sklepów. Podziwiać trzeba ich siłę. Nasze galicyjskie miałyby wiele pracy, żeby uciągnąć sam próżny wóz. Przytem konie owe chodzą spokojnie, miarowo, chłopi ich nie biją ani nie męczą, nie mają nawet bata do poganiania. Wiejskie konie są wzrostem podobne do naszych; ciągną zazwyczaj wóz o dwóch wielkich kołach, a powozi często kobieta, bo prawdopodobnie jej mąż zajęty pracą w porcie lub w jakim magazynie.

O ile spostrzegłem, jest tu wogóle lud praktyczny umie wyzyskać nawet siłę psa, którego używają do przewożenia różnych mniejszych ciężarów, jak n. p. wiktuałów lub jarzyn. Często sprzęgają po kilka psów razem tak, że mężczyzna trzyma tylko dyszel dwukołowego wózka i kieruje psami. Ks. Bieniasz zauważył nawet, że tu w Antwerpii pies z kotem żyje w zgodzie i przyjaźni.

Wspomnieć mi należy także o pięknym ogrodzie zoologicznym, bogatym w liczne i wspaniałe okazy; podobno nie ustępuje w niczem berlińskiemu, a może nawet go przewyższa. W lutym bież. roku otworzono nowo założone akwaryum, obfitujące w różne gatunki ryb i potworków morskich. Obok ogrodu zoologicznego jest stajnia, w której się utrzymują wzorowo wielkie okazy krów flamandzkich. Przy tymże ogrodzie znajduje się piękne muzeum, w którym znawcy podziwiać mogą szkielety i czaszki, nawet małpie; są tutaj także różne powypychane ptaszki i zwierzęta.

W sobotę po odjeździe okrętu mamy zwykle dzień wolny, możemy się wtedy wybrać w dalsze okolice Antwer-

pii. Pierwsza taka dalsza wycieczka miała cechę pielgrzymki. W sobotę dnia 21-go stycznia wybraliśmy się do Ans, gdzie w kaplicy Sióstr Miłosierdzia spoczywają relikwie świętego naszego Założyciela i obydwóch błogosławionych Męczenników.

Przed kilku laty sprowadzono je tu dla bezpieczeństwa z Paryża i umieszczono w wielkim ołtarzu pięknej kaplicy Centralnego Domu Sióstr Miłosierdzia prowincyi belgijskiej.

Z wielkiem wzruszeniem odprawiliśmy Mszę św. na ołtarzu, w którym spoczywają te czcigodne szczątki; wzajemnie usługiwaliśmy sobie do Mszy św. W modlitwach swych prosiliśmy gorąco naszego świętego Ojca i obydwóch błogosławionych Współbraci, o ich ducha i o łaski potrzebne dla nas, dla naszych Konfratrów i wogóle dla obydwóch rodzin św. Wincentego.

Po Mszy św. ugościła nas Siostra Wizytatorka, zacna staruszka, śniadaniem. Następnie udaliśmy się tramwajem elektrycznym do naszych Konfratrów w Liège, którego przedmieściem jest właściwie wioska Ans. Obsługują oni kościół Sióstr Miłosierdzia w Ans i zaopatrują ich duchowne potrzeby. Po obiedzie zwiedziliśmy miasto. Na szczególniejszą uwagę zasługuje tu wspaniały, gotycki pałac dawnych kiskupów, w którego jednym skrzydle znajduje się obecnie pałac królewski, a w drugim umieszczono różne biura rządowe. — Wieczorem wróciliśmy uszczęśliwieni do Antwerpii.

Najbliższym domem naszych Konfratrów jest Małe Seminarium we Wernhoutsburg, odległem od Antwerpii o 30 km. na północny wschód. Dom ów znajduje się już za granicą na terytorjum holenderskiem. Komunikacya z Antwerpią jest bardzo dogodna, gdyż drogę tę odbywa się tramwajem elektrycznym, a w dalszym ciągu kolejką parową, która staje przed Zakładem. Ks. Bieniasz jest już u nich znanym; z wdzięcznością przeto przyjąłem propozycyę odwiedzenia ich i przypatrzenia się urządzeniu Małego Seminarium. Zacyy ks. Superyor i księża Konfratry, których

jest w tym domu piętnastu, przyjęli nas z wielką serdecznością.

Po obiedzie zwiedziliśmy Zakład, w którym znajduje się około 150 uczniów. Składa się on z pięknej kaplicy i z kilku jednopiętrowych domów, urządzonych według wszelkich higienicznych wymogów. Szkoda tylko, że znajduje się w okolicy wilgotnej i malarycznej, co daje się zdrowiu odczuwać, zwłaszcza w czasie dłuższych deszczów i w zimie. Obok mają Konfratry staw, w którym w lecie urządzają kąpiele, a w zimie, o ile dostatecznie zmarznie, ślizgawkę dla chłopców.

Prawie każdego roku spędza tu kilka tygodni na wypoczynku Najczcigodniejszy Ojciec Generał; w roku bieżącym spodziewają się go również w maju lub czerwcu. Mile także wspominał ks. Superyor i księża Konfratry naszego Przewielebnego ks. Wizytatora, który zeszłego roku wracając z Ameryki północnej wstąpił po drodze do nich. Dopytywali się o ks. Konstantego Michalskiego, czy po złożeniu egzaminu przybędzie do nich przed odjazdem do Krakowa.

Niebawem dowiedzieliśmy się, że ks. Michalski świetnie, z odznaczeniem złożył egzamin doktorski, pospieszyliśmy przeto 16-go lutego do Lowanium powinszować mu, a zarazem pożegnać, gdyż spieszył się z odjazdem do Krakowa.

Przyjął nas i ugościł serdecznie nasz Konfrater, ks. Karol Devin, który tu stale mieszka jako kapelan Sióstr Miłosierdzia, a zależy od domu w Liège.

Siostry mają w Lowanium od kilku lat piękny, wygodny dom i śliczną kaplicę. Gromadzą się w nim staruszki z Francji na wypoczynek i mogą spokojnie Pana Boga chwalić na ziemi belgijskiej, nie lękając się już szykan rządu francuskiego. Obecnie jest ich około 50; kilka z nich odwiedziliśmy w infirmeryi.

W mieście zasługuje na szczególniejszą uwagę prześliczny ratusz gotycki, a także wspaniałe oryginalne gmachy

zakładów uniwersyteckich. W jednym z nich miał mieszkanie ks. Michalski.

W wolnym dniu zwiędziłem wraz ks. Bieniaszem Brukselę, miasto, kościoły, oraz piękne, w okazałe dzieła artystyczne bogate muzeum.

Podam jeszcze kilka szczegółów z naszego życia prywatnego, w jaki sposób musieliśmy sobie nieraz radzić na obczyźnie.

Zima jest w Belgii wogóle łagodniejsza, niż u nas w Galicyi, zwłaszcza w roku bież. była w Antwerpii bardzo łagodną. Mieliśmy niewielkie przymrozki, a śniegu prawie żadnego; za to padają często drobne deszcze, gęsta mgła zalega nad miastem tak, że na kilka kroków przed sobą nie można widzieć i rozpoznać przedmiotów. Nie dziwię się przeto wcale, że z powodu mgły zdarzają się często wypadki, katastrofy na morzu, a w Londynie niekiedy cały dzień muszą światło palić, nawet na ulicach. Z powodu mgły zbłądziliśmy kiedyś z ks. Bieniaszem w mieście i choć on już znał dokładnie Antwerpię, nie mógł się zorientować, trzeba się było zapytać o ulicę.

Taka mglista i dżdżysta zima jest również niezdrową, zwłaszcza na choroby piersiowe; wolę przeto naszą polską, mroźną i śnieżystą zimę, w której z przyjemnością i z sanny korzystać można.

Wielką niewygodę sprawia tutejsza zima mieszkańcom w ogrzewaniu mieszkań. Pieców murowanych tu nie znają, natomiast poumieszczano w pokojach kominki, w które stawia się na porę zimową żelazne piecyki. Jak długo się w takim piecyku pali, to ciepło, skoro zaś ogień zgaśnie, to zimno; trzeba więc cały dzień w piecyku palić, żeby w mieszkaniu ciepło utrzymać; w dodatku i tak w nocy i z rana jeszcze zimno będzie. Na domiar nieszczęścia pierwszy raz w życiu spotkałem się z takimi piecykami i z takim systemem ogrzewania; nie miałem przeto wprawy w doglądaniu i paleniu w piecyku, zwykle mi gasło. Po licznych próbach dałem spokój wszystkiemu; a gdy mi zimno bardzo już do-

kuczyło, udałem się do pokoju ks. Bieniasza, by się tam ogrzać. On specjalista w tych rzeczach, aż się dziwiłem, skąd mu taka znajomość w doglądaniu ognia, by nie zgasł, lub w dokładaniu węgla, by go zanadto nie przydusić. Śnać nauczył się tego jako kleryk w Paryżu, a znajomość w tym fachu bardzo mu się obecnie przydała w Antwerpii.

Mamy jeszcze jedną niewygodę, a dotyczy ona więcej ks. Bieniasza: to porozumienie się z naszą gosposią, poczciwą Flamandką. Jest to wiejska kobiecina, nauczyła się kilka frazesów po francusku, a zresztą nie rozumie ani nie potrafi się rozmówić w tym języku. Utrzymuje ona tu rodzaj pensjonatu, stołuje się u niej około 20-tu studentów i oficyalistów, z którymi porozumiewa się po flamandzku. Jeżeli ks. Bieniasz chce się z nią rozmówić w jakiej ważniejszej sprawie, to używa pośrednictwa drugiej lokatorki, która zna język francuski i flamandzki. Ja zwykle przemawiam do niej po niemiecku, gdyż język flamandzki to niemiecka wiejska gwara ludowa, zachodzi pomiędzy nimi podobny stosunek, jak między polskim a ruskim językiem. Można się przeto, choć niedokładnie, porozumieć.

Dla ciekawości kupiłem sobie rozmówki i gramatykę języka flamandzkiego, lecz na dokładniejsze studyum brak mi czasu.

Raz poraz wspominał ks. Bieniasz, że długo razem nie pozostaniemy, że jego niebawem odwołają, bo zwykle w poście więcej pracy, z powodu misyi i rekolekcyi. Nie bardzo chciałem wierzyć w jego przypuszczenia, tymczasem niezadługo przekonałem się o rzeczywistości. Ks. Bieniasz wrócił do Krakowa na Kleparz, a ja zostałem sam w Antwerpii. Jaką miałem w tym czasie pracę i jak sobie radziłem, doniosę o tem w następnym liście.

Antwerpia, 25 marca 1911 r.

Po wyjeździe ks. Bieniasza w niczem nie zmieniłem dawnego rozkładu pracy i nadal spowiadam przed południem, a po południu mam naukę do polskich emigrantów.

Naturalnie tem samem, że sam jestem, mam podwójną pracę, bo sam to zrobić muszę, cośmy przedtem w dwóch robili.

Samotność, na jaką skazany zostałem, wcale mnie nie przeraża, bo i w Sokołówce byłem często sam przez czas dłuższy, kiedy Czcigodny ks. Kiedrowski wyjeżdżał do Prus. Wprawdzie w położeniu znaczna zachodzi różnica; tam miałem w sąsiedztwie sędziwego ks. proboszcza, Siostry Miłosierdzia, polskie dzieci po szkołach i parafian polskich, tu zaś stykam się z polskim ludem tylko przy spowiedzi i w czasie nauki, lub kiedy odwiedzam hotele, zresztą słyszę tylko obcą mowę, flamandzką, rzadziej francuską lub niemiecką. Ale nie zupełnie sam tu jestem. W tej samej ulicy mieszkają OO. Biali, których założył świątobliwy kardynał Lavigérie. Mają oni tu o kilka kroków swą kaplicę, w której się mogę swobodnie pomodlić, nawiedzenie Najświętszego Sakramentu odprawić, a do pobożnego ich superyora chodzę do spowiedzi św. W pobliskim kościele parafialnem św. Karola Boromeusza odprawiam Mszę św. Zapoznałem się również z dwoma księżmi, mieszkającymi przy tej samej ulicy. Jest mi zatem i w Antwerpii dobrze.

Chcąc się dokładnie przekonać o dawnym i obecnym ruchu emigracyjnym, udałem się o bliższe imformacye do rządowego biura emigracyjnego, gdzie mi chętnie udzielono potrzebnych szczegółów i podano statystyczny wykaz emigrantów, udających się z tutejszego portu do krajów zamorskich. Naczelnik biura powiedział mi przy pożegnaniu, abym się w każdej potrzebie, odnoszącej się do emigracyi i emigrantów, do nich udawał, a chętnie służyć mi będą wskazówkami i pomocą. Według owego wykazu pokazuje się, że największy ruch emigracyjny był w 1907 roku, gdyż wtedy wyjechało z Antwerpii 100.318, a między nimi było około 55.000 samych Polaków. W następnym roku, z powodu krachu w Stanach Zjednoczonych i braku pracy, zmniejszył się ruch emigracyjny, spadł prawie do trzeciej części, gdyż wynosił tylko 35.339 osób, między którymi

było około 20.000 naszego ludu. Obecnie wzrasta coraz więcej emigracya do Kanady, gdyż rząd kanadyjski ofiaruje emigrantom na dogodnych warunkach ziemię do nabywania. Za to spółki okrętowe korzystają coraz bardziej z wychodźców przez podwyższanie ceny biletów jazdy okrętowej. Tak n. p. z początku roku bież. płacono za przejazd z Antwerpji do Kanady 120 marek, w lutym podniesiono na 140, a obecnie od kwietnia na 160 marek.

W marcu i kwietniu jest bardzo wielki ruch emigracyjny, o czem mnie już dawniej uprzedzono. Przybywają setki wychodźców Polaków i nie-Polaków, wśród których najwięcej znajduje się Rusinów z Galicyi, z Królestwa i Bukowiny, a wielu wśród nich schizmatyków; są i Słoweńcy, Wołosi, Węgrzy, Bośniacy; inne narodowości w mniejszej nieco liczbie. Wszystkie hotele emigracyjne są przepelnione. Znałem ich początkowo sześć; dowiedziałem się tymczasem o czterech innych, które stale emigrantów przyjmują; zwiedzam je i namawiam lud nasz do korzystania ze spowiedzi świętej. W trzech hotelach emigracyjnych są właścicielami czy dzierżawcami żydzi, w jednym ewangelik, a w innych katolicy. O ile zauważyłem, to żydzi najwięcej namawiają wychodźców, aby chodzili do kościoła na nabożeństwo; oni ani im ani księdzu udzielającemu się emigrantom nie robią żadnych trudności. Pochodzi to wprawdzie z pobudki niekoniecznie dobrej, z chęci przypodobania się księdzu i zyskania jego łaski, ale od żyda więcej wymagać nie można.

Jeden jeszcze miałem wielki kłopot: jak poradzić sobie ze spowiedzią wielkanocną między wychodźcami?

Ks. Arcybiskup mechliński wyznaczył tylko trzy tygodnie czasu dla tutejszej ludności na spowiedź wielkanocną: od niedzieli Męki Pańskiej do Przewodniej. Między naszymi wychodźcami wielu nie było w domu u spowiedzi wielkanocnej, inni chcieliby się może spowiadać później, po Wielkanocy, tymczasem tutejsza spowiedź w Antwerpji poza owym wyznaczonym przez ks. Arcybiskupa terminem nie

byłaby już wielkanocną. Udałem się przeto listownie z prośbą do arcybiskupiego konsystorza, o przedłużenie terminu spowiedzi wielkanocnej dla wychodźców naszych i dla Polaków zamieszkałych w Belgii zwłaszcza w Antwerpii i w Brukseli, a mianowicie na czas od trzeciej niedzieli postu aż do Trójcy świętej. Otrzymałem pomyślną odpowiedź: *Conceditur iuxta preces pro hoc anno*. W dodatku spowiadam ich jak w kraju ojczystym, za kartkami. W ten bowiem sposób wie hotelista, kogo wcześniej wypuścić do kościoła, a z drugiej strony i lud zadowolony, że odprawia spowiedź wielkanocną, jak w swoim parafialnym kościele. Wielu już było przed wyjazdem z domu u spowiedzi wielkanocnej, lecz są tacy, którzy ją tu odprawiają, na co bardzo nalegam, gdyż w Ameryce, a zwłaszcza w Kanadzie, brak na owych olbrzymich przestrzeniach polskich księży; każdy też zaprzątnięty będzie troską o swe utrzymanie, o wyszukanie pracy. Są niestety między wychodźcami i tacy, którzy w domu nie odprawili spowiedzi wielkanocnej, tu od niej stronią i prawdopodobnie nie odprawią jej i w Ameryce. Przykro to, lecz nikogo zbawić nie można, jeśli on się sam zbawić nie chce.

Wspomniałem wyżej o Polakach zamieszkałych w Belgii, zwłaszcza w Antwerpii i Brukseli; mam tu na myśli przede wszystkim polską młodzież, która w tych miastach, w wyższych szkołach handlowych, słynnych zresztą w całej Europie, odbywa swe studia. Z małymi wyjątkami nie przynoszą oni chluby naszemu narodowi przez swe zachowanie się moralne i przekonania religijne. W Antwerpii jest ich więcej niż w Brukseli; razem z żydami jest w tutejszem mieście do 120 uczniów polskiej narodowości. Około 60—70 jest żydów, reszta katolicy, pochodzą przeważni z Królestwa, a należą do stronnictwa postępowego; z małymi wyjątkami podobni do tych, co robili awantury i strajki bież. roku na uniwersytecie krakowskim. Mają tu nawet swoje stowarzyszenia i czytelnię. Trzymam się jednakże od nich

zdala, gdyż dodatnio w kierunku religijnym na nich oddziaływać nie można, a z drugiej strony nie chcę narażać na szwank swojej kapłańskiej powagi; brak mi zresztą czasu na podobne wizyty.

Młodzież nasza ma w Antwerpii różne sposoby do rozrywki i zabaw, począwszy od gry w karty, teatrów, wieczorków, a skończywszy na szynkach i tawernach. Belgowie, zwłaszcza ich młodzież, mają pod tym względem pierwszeństwo. Lubią się oni bawić, szczególnie w czasie karnawału, który z wraskiem i hałasem bardzo wesoło obchodzą. Przez trzy dni zapustne włóczy się młodzież flamandzka, z maskami na twarzy, wśród śpiewów, krzyków i tańców, do których zwykle przygrywa muzyka, dniem i nocą do ulicach. Nie dosyć im tej zabawy w czasie zapust, ponawiają ją jeszcze w pierwszą niedzielę postu po południu i wieczorem. I tem się nie zadowolniają. W czwartą niedzielę postu, w środopociu, ponawiają swe niecne zabawy z muzyką, wraskami i krzykami, z większą jeszcze gwałtownością, niż w zapusty.

Jak ujemnie takie zabawy wpływają na młodzież, jakie zepsucie w niej szerzą, o tem już nie wspominam. Duchowieństwo stara się wprowadzić przeciwdziałać i usuwać to zepsucie, lecz jest bezsilne, zwłaszcza we większych miastach, gdzie rządzi liberalna partya, która pozwala na wszystko, byle sobie tylko zyskać lud do swoich niecných celów.

Wtorek zapustny przepędziłem u gościnnych Konfratrów w Wernhoutsburg. Uczniowie Małego Seminaryum odegrali tragedję Sofoklesa „Król Edypa“, w języku francuskim.

Na zakończenie wspomnę, że Siostry Miłosierdzia mają w Antwerpii dwa domy. Jeden, mniejszy, jest w śródmieściu w którym mają szwalnię i Stowarzyszenie Dzieci Maryi; Siostry tegoż domu odwiedzają chorych. Drugi, wielki dom Sióstr Miłosierdzia, znajduje się na przedmieściu; tuli on w sobie wiele nędzy ludzkiej. Tu utrzymują Siostry „Żłó-

bek“, a w nim około 300 dzieci; mają około 100 sierót, a nadto prowadzą sześćo-klasową szkołę, do której uczęszczają dzieci z miasta. Istnieje tu Stowarzyszenie Dzieci Maryi, osobno dla dzieci domowych, osobno dla przychodnich. Na tak wielką pracę jest tylko 20 Sióstr Miłosierdzia, a więc stosunkowo bardzo niewiele.

Wielką przyjemność sprawia mi zawsze wiadomość o pracy naszych Konfratrów i Sióstr Miłosierdzia, jaką rozciągają i za granicą, po miastach i wioskach belgijskich.

Ks. Józef Góral.

Cudowny Obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego

w kościele Księży Misyonarzy w Milatynie Nowym.

IV.

Z przeszłości Milatyna. — Erem OO. Kamedułów.

Zanim opowiem dalsze dzieje obrazu Pana Jezusa, przypatrzmy się pobieżnie dziejom Milatyna, do którego, jak wyżej była mowa, z woli cześnikostwa Sobieszczańskich i rozporządzenia Najprzew. ks. Arcybiskupa Wyżyckiego, miał być wkrótce przeniesiony z Nowego Stawu wzmiankowany obraz, przez co miejscowość ta wyniesioną została do godności pierwszorzędnego miejsca odpustowego w Polsce.

Milatyn, położony o 5 mil na północny wschód od Lwowa, należał pierwotnie do królewskiej, podobnie jak wszystkie inne okoliczne włości. W najdawniejszych czasach nazywał się Miłotyczami. W roku 1841 c. k. Prokuratorya we Lwowie zwróciła się do OO. Jezuitów, którzy w tym czasie w Milatynie rezydowali z zapytaniem, czy w archiwum parafialnem nie znajdują się „documenta identitatem denominationis villae Miłotycze et Milatyn comprobantia“ ¹⁾. OO. Jezuici odpowiedzieli, że nie mogą rzeczonych dowodów dostarczyć, ponieważ w czasie kasaty klasztoru OO. Karmelitów wszelkie akta archiwalne i dokumenta odnoszące się do tutejszej fundacyi poszły w rozsypkę. Istotnie rząd zabrał wszystko, co się odnosiło do tak pięknie rozwijającej się fundacyi. Z tego czasu pozostał tylko jeden jedyny akt konsystoryalny, wielce upokarzający OO. Karmelitów Bosych, z drugiej strony, świadczący wy-

¹⁾ Status Eccl. Milat. t. III. d. a. 1841.

mownie o bezprawiach, jakich się dopuszczał ks. Arcybiskup Onufry Ferdynand Kicki odnośnie do klasztorów. Szkodliwą działalność jego w duchu Józefińskim niezrównanie skreślił ks. Dr. Chotkowski w dziele „Kościoł w Galicyi“. Za to wszystko prawdopodobnie ks. Stanisław Baron Błażowski, kanonik Lwowski i późniejszy proboszcz Milatyński, chcąc uczcić rządowca - biskupa umieścił w domu klasztornym w Milatynie portret jego, na którym chyba dla ironii widnieje dwuwiersz:

„Rozumny, cnotliwy, a że przez wiek cały
Nie szukał honorów — same go spotkały“.

W czasie, kiedy szukałem szczegółów odnoszących się do Milatyna, wyjechałem z Najprzew. ks. Biskupem Bandurskim na wizytację kanoniczną do naszego dekanatu. W każdej z jego parafii, jako najbliższych Milatyna, przeszukiwałem skrzętnie nocami stare akta, przypuszczając, że powinienem gdzieś znaleźć jakieś szczegóły odnoszące się do przedmiotu, o którym piszę. Niestety znalazłem tylko jedno źródło w Żelechowie. Był to stary manuskrypt: „Codex legum Ecclesiae Żelechoviensis servientium... Cura D. Simonis Sebastiani Dzidziński A. D. 1720 conscriptus“. Między innymi dowiedziałem się z niego, że jednym z trzech współfundatorów parafii Żelechowskiej był w roku 1426 Stanisław Kay de Miłotycze. Skądinąd wiadomo, że Stanisław Kay był tylko właścicielem Milatyna i tu mieszkał i dlatego od samego początku wydawania „Catalogus universi Vener. Cleri Archidiec. Leopoliensis rit. lat.“ figuruje między trzema współfundatorami wzmiakowanego kościoła „Stanislaus Kay de Miłotycze alias Milatyn“. Po roku 1532 znachodzi się w powyższym nader ciekawym manuskrypcie tylko nazwa Milatyn. I znowu nasuwa się pytanie, dlaczego Miłotycze przechrzczono na Milatyn. Lud, wśród którego dotąd znana jest nazwa Miłotycze, powiada, że Miłotycze nazwano dlatego Milatynem, ponieważ był odległy od obronnego w Żelechowie zamku (tynu) o milę, stąd: Mila-tyń. A więc podobnie jak pod Krako-

wem: Tyniec. Po przestudyowaniu wyżej wspomnianego manuskryptu, nasuwa mi się jednak inne prawdopodobne przypuszczenie. W rozdziale: „Decreta circa ius collationis“ jest roztrząsany szeroko spór, jaki miał około roku 1532 Piotr de Ossa Ozga, właściciel Milatyna, z Mikołajem i Andrzejem de Felstin, z Mikołajem Niestuchowskim i innymi „de et super principalitate et potioritate iuris patronatus“, odnośnie do kościoła Żelechowskiego. Z zacytowanych powodów, które przemawiają „de principalitate et potioritate iuris patronatus“ Piotra Ozgi, dowiadujemy się, że właścicielem Milatyna był przedtem niejaki p. Mikołaj Milatyński. Wobec tego można zrobić chyba śmiało przypuszczenie, że sam Mikołaj Milatyński, lub ktoś z rodziny jego, nazwał majątek rodzinny Miłotyce po imieniu rodowem Milatynem tak, jak to było u nas w Polsce zwyczajem.

To wszystko jednak, co dotąd powiedziałem odnosi się do Milatyna pierwotnego, bezprzymiotnikowego. Dzisiaj mamy obok siebie dwa Milatyny, stary czyli pierwotny i nowy, który powstał dopiero po sprowadzeniu cudownego obrazu do dawnego kościółka, który się wznosił wśród uroczych lasów.

Osada „Milatyn nowy“ powstawała zwolna około roku 1740, z ludności napływowej i robotniczej, której potrzebowali OO. Karmelici do budowy i do obrabiania gruntów. Ludność ta napływowa, mieszkała na gruntach klasztornych, czyli na fundacyi. Dla odróżnienia jej od mieszkańców właściwego Milatyna, nazywano ją „fundaczanami“, bo istotnie, mieszkali nie na gruntach swoich, lecz na fundacyi klasztornej milatyńskiej. I ta nazwa utrzymała się wśród okolicznego ludu, lecz uchodzi już za słowo obelżywe. Ostatniem wyzwiskiem, którem chłop wiejski traktuje mieszkańców Milatyna nowego, jest, gdy powie „ty fundaczaninie“ lub „ty fundaczanko!“

W roku 1775 powstał spór między Karmelitami Bosymi a Maciejem Skorupką, sędzią najwyższego trybunału i dziedziecem ówczesnego Milatyna, o granice terytoryalne między

dobrami klasztorami a dworskimi. Spór skończył się szczegółowym opisem granic, skutkiem czego rzeczona fundacya milatyńska, własność integralna OO. Karmelitów Bosych, stanowiąca część Milatyna pierwotnego, otrzymała nazwę Milatyna nowego, a pierwotny Milatyn nazwano Milatynem starym. Dziś są to dwie odrębne gminy. Milatyn pierwotny czyli stary, z ładnym obszarem dworskim, jest lichą wioską, a Milatyn nowy biednym miasteczkiem galicyjskiem.

W dziejach Polski nie odegrał Milatyn żadnej wybitniejszej roli. — Wspomniałem wyżej, że należał do królewskiej. Władysław Jagiełło odstępuje w roku 1431 Boszcz (dzisiejszy Kulików), Zboiska, Międzyhorce i Milatyn Janowi z Koniecpola w nagrodę za wieloletnie usługi oddane Ojczyźnie i jako zastaw za wypożyczonych 300 grzywien na potrzeby wojenne przeciwko Krzyżakom. Na mocy zaciągniętego w metryce koronnej przywileju z roku 1578, został Milatyn podniesiony do rzędu miasteczka przez Stefana Batorego, z równoczesnem nadaniem mu prawa rządzenia się „iure theutonico Magdeburgensi“. W tym czasie kwitł w Milatynie przemysł. Milatyn posiadał fabryki i prowadził na szerszą skalę handel. W późniejszych jednak czasach traci zupełnie na znaczeniu. W rejestrze szkód, wyrządzonych w roku 1657 przez wojska koronne w Milatynie i innych włościach należących do Piotra Ozgi podkomorzego lwowskiego, niema o Milatynie, jako o miasteczku, żadnej wzmianki¹⁾. W tych więc latach Milatyn podupadł, podobnie jak wszystkie

¹⁾ Piotr Ozga, podkomorzy lwowski, a właściciel Milatyna, należał do poważniejszych i wybitniejszych osobistości za panowania Jana Kazimierza. Czytamy w *Dziejach Ojczystych*, że kiedy podczas sejmu w roku 1667 królowa Marya Ludwika wchodziła do obrad, Ozga zgniewany tem zawołał: „Na co tu długich obrad, skoro wola królowej jest najwyższem prawem!“ A kiedy król Jan Kazimierz stanąwszy po stronie żony swej krzyknął: „Kłamiesz“ — Ozga donośnym głosem powiedział: „Taksamo rzekł przed laty król Stefan Kazimierskiemu, a on odpowiedział, co i ja powtarzam: Jestem szlachcicem i posłem, który obieca królów a zrzuca tyranów“. Cfr. Baczyński, *Dzieje Polski*.

miasteczka na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Powody tego upadku są nam znane skądinąd. Wszak w tych czasach był to teren ustawicznych i morderczych walk. Tędy ciągnęły kilkakrotnie wojska tureckie pod Lwów. W latach od 1648—1676 nie było roku, żeby Chmielnicki lub jego następcy na czele dzikich hord kozackich nie płądrowali tu-tejszych okolic. Po każdym tego rodzaju najeździe, wioski i miasteczka wyludniały się, a bardzo często zamieniały się w kupę zgliszczy i popiołu. A i sami niejednokrotnie przykładali rękę do zniszczenia, obozując w tych stronach. Tu długi czas kwaterowały wojska polskie za Michała Korybuta. Tędy przechodziły raz po raz hufce polskie przeciwko Turkom i Kozakom. W tych warunkach musiały miasteczka podupadać i ubożeć, a nawet schodzić do rzędu lichych włości. Takisam los spotkał Milatyn. Uległ kilkakrotnie zupełnemu zniszczeniu, z którego się potem już nigdy nie dźwignął. W wyżej cytowanym manuskrypcie Żelechowskim Milatyn jest nazwany „villa“ i kiedy autor dość szczegółowo i szeroko pisze o innych wioskach należących do parafii Żelechowskiej, o Milatynie pisze tylko tyle: „Ex hac villa ius patronatus Magnificos Ozgas concernit, ex decretis, variis temporibus tum in Consistorio tum in Sacra Nuntiatura latis. Decima manipularis de omnibus agris post araturas prae-diales spectat ad Ecclesias Żelechoviensem“. Widocznie w tych czasach już nie było w Milatynie nic godnego uwagi. Z zabytków historycznych pozostały jeszcze tylko w okolicy tu i ówdzie nasypy, szanice i kurhany, przede wszystkim zaś czworoboczne wysokie kolumny murywane, któremi rzekomo król Sobieski znaczył drogę podczas wyprawy tureckiej.

W tym niewątpliwie smutnym stanie występuje Milatyn na widownię z początkiem XVIII. wieku, lecz już nie jako własność Ozgów, ale Łączyńskich. Około roku 1730 była właścicielką Milatyńskiego klucza Teresa z Karśnickich 1^o voto małżonka Franciszka Gałęckiego, miecznika podlaskiego i pułkownika wojsk polskich, a 2^o voto małżonka Jerzego Anto-

niego (2 im.) na Kutkorzu Łączyńskiego, chorążego, a potem podkomorzego ziemi Lwowskiej i dystryktu Żydaczowskiego. Przez to drugie małżeństwo złąły się dwie sąsiednie magnackie fortuny w jeden wielki obszar, który obejmował kilka mil kwadratowych. Przestrzeń między Kutkorzem a Milatynem stanowiła wtedy jeszcze jedną wielką puszcę, pokrytą zielenią i wiekowym ciemnym borem, tu i ówdzie urozmaiconą pagórkami i wąwozami, w których aż się roiło od dzikiego zwierza. Puszcza ta nadawała się, zdaniem pani Łączyńskiej, dla zakonników, prowadzących życie pustelnicze. Po długim namyśle, postanowiła rzeczywiście ich tu osiedlić i oddać im część pewną na własność. Nietrudno było w tych czasach u nas w Polsce znaleźć taki zakon. Los padł na synów św. Romualda, którzy, jak wiadomo, zakładają siedziby swoje, zwane puszciami (eremus), na szczytach gór wśród lasów, zdala od miast i zgiełku światowego. Już w roku 1738 nawiązuje pani Teresa Łączyńska rokowania z kapitułą zakonną, celem osiedlenia OO. Kamedułów w wyżej opisanych dobrach swoich. Kapituła generalna poleciła tegoż jeszcze roku zakonnikom polskim wybrać w ofiarowanych dobrach stosowne miejsce na założenie eremu, mianując równocześnie O. Feliksa, Węgra, superyorem mającej powstać fundacyi. Z polecenia O. Gabryela Wolińskiego, wikaryusza generalnego Kamedułów polskich, obrano z całego kompleksu dóbr piękne lesiste wzgórze, wśród których znajduje się dzisiaj uboga osada nowo-milatyńska.

Nim tu OO. Kameduli przybyli, kosztem fundatorki stanęły zabudowania klasztorne, a więc kilka odosobnionych domków (pusteln), każdy z kapliczką i ogródkiem obok. Prócz tego stanęła kaplica mszalna, prawdopodobnie murowana, z odpowiednim urządzeniem tak, aby mogli się schodzić eremici siedm razy na dobę, na wspólne modlitwy do chóru. Kiedy już wszystko było należycie urządzone według wymóg reguł zakonnych, przybyło tu zapewne pod wodzą O. Feliksa czterech OO. Kamedułów z Góry srebrnej (dzisiejsze Bielany), a zatknąwszy znamię Zbawiciela na naj-

wyższem wzgórzu, założyli erem pod wezwaniem św. Krzyża. W prowincyi polskiej nazywano go fundacją lwowską (fundatio Leopoliensis), z powodu bliskości Lwowa.

W roku 1740 na kapitule generalnej przełożonym eremu św. Krzyża został wybrany O. Wawrzyniec Czaczkowski, rodem z ziemi Czerskiej, a wychowany w kolegium OO. Jezuitów w Warszawie ¹⁾. W dwa lata później (1742) kapituła generalna nazaczyła przełożonym O. Karola Reszkowskiego z dodaniem mu na rządcę eremu (Cellerarius) O. Kolumbana.

Tegoż roku pani Teresa Łączyńska zapisała na erem Milatyński 33 tysiące złotych polskich przed grodem niższym lwowskim (in Castro inferiori), w piątek po niedzieli „Exaudi“ najbliższej.

Niebawem zjechał do Polski, celem odprawienia wizyty tutejszych eremów, O. Klemens Neapolitańczyk, Major całego zgromadzenia OO. Kamedułów kongregacyi Góry koronnej. Między innymi zwiedzając fundację lwowską, to jest Milatyn, przekonał się, że fundacya ta zupełnie zbacza od przepisów i wymóg reguł zakonu, i że między zakonnikami żadnej niema obserwancyi. Zarzut taki można było wówczas zrobić nietylko OO. Kamedułom, ale ogółowi Zgromadzeń zakonnych w Polsce.

Jednostki zakonne nie wchodziły w mury klasztorne wprost z nieba, lecz wydawało je społeczeństwo, wady więc społeczeństwa znajdowały oddźwięk także w klasztorach. Starczy dla zdania sobie sprawy z ówczesnych stosunków przypomnieć, że były to czasy panowania Sasów.

O. Tyburcy Kameduła, wizytator generalny i komisarz Apostolski, uprawniony w kilka lat później do przeprowadze-

¹⁾ OO. Kameduli z Bielán donieśli mi (v. Status Eccl. Milat. d. a. 1910), że w roku 1740 przełożonym eremu w Milatynie został O. Wawrzyniec, zaś Ludwik Zarewicz w książce pod tytułem: „Zakon Kamedułów, jego fundacye i dziejowe wspomnienia w Polsce i Litwie“ podaje jako przełożonego O. Karola Reszkowskiego. Ja oparłem się na doniesieniu OO. Kamedułów.

nia reform w eremach OO. Kamedułów w Koronie i Litwie, pisze o samych tylko przełożonych: „Saepe cursitant in civitatibus, in praediis apud magnates, votum paupertatis quasi pro aliis esset, negligunt, tanquam domini substantiae eremorum, non ut ministri et dispensatores, se gerunt; maiorem habent sollicitudinem de rebus caducis, quam de progressu spiritali religiosorum“. Co się działo gdzieindziej, wiemy, choćby tylko z ks. Andrzeja Kitowicza (1728—1804) „Pamiętników“, tudzież z jego „Opisu obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.“.

Prowadzenie się eremitów w fundacyi św. Krzyża w Milatynie tak się nie podobało O. Klemensowi, że po odbytej wizytacyi i po porozumieniu się z ks. Arcybiskupem Mikołajem Wyżyckim skasował ją i zakonnikom z niej ustąpić natychmiast rozkazał. Niebawem też O. Ludwik prokurator OO. Kamedułów polskich przybywszy do Milatyna, pozostałe ruchomości po zakonnikach zabrał, a fundatorkę panią Teresę Łączyńską, aktem z dnia 1-go lutego 1745 roku, spisany w grodzie niższym lwowskim, z uczynionej fundacyi i zapisu 33 tysięcy złotych polskich prawomocnie i całkowicie zwolnił.

Tak skończyła się próba stworzenia eremu w Milatynie.

Oczywista rzecz, że o pobycie OO. Kamedułów w Milatynie nikt nie wie, boć o jakiegokolwiek ludności tutejszej mowy jeszcze nie było. Trudno się nawet doszukać jakiegokolwiek śladów po byłym eremie.

Cały obszar Milatyna jest pagórkowaty, więc domki pustelnicze były niezawodnie porozrzucane po lesie, a obok ciągnął się duży staw, z którego dzisiaj prawie już niema śladu. Stare fundamenta tu i ówdzie się znachodzą. Tak n. p. przy przebudowie domu pod liczbą konskrypcyjną 23 natrafiono przed kilku laty na stare fundamenta i mury, które według opowiadania mogły stanowić podwalinę kaplicy większych rozmiarów.

Jeżeli to opowiadanie przyjmiemy za pewnik, w takim razie domki pustelnicze bieleły się na podłużnem wzgórzu

położonem na północny zachód od obecnego pomieszkania naszych Konfratrów. Wzgórza te po dziś dzień ludność miejscowa nazywa „Dębiną“, pomimo że wznoszą się na nich domki i pokryte są ogrodami; widocznie tradycja przechowała tylko opowiadanie praojców ¹⁾).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Brukwicki.

¹⁾ Szczegóły odnoszące się do Milatyna i OO. Kamedułów opracowałem pobieżnie i niewyczerpująco, z tego prostego powodu, że zajęty pracą na prowincyi, zdala od bibliotek i dzieł historycznych, nie mogę oddać się szczegółowym badaniom źródeł. Zresztą zamierzyłem sobie podać czytelnikom Roczników ogólny zarys dziejów obrazu, zostawiając resztę młodszemu pokoleniu, oddanemu specjalnie studyum i pióru. — Wiele szczegółów odnoszących się do Milatyna mają zawierać podobno akta grodzkie i ziemskie we Lwowie. O Kamedułach natomiast spory zapas wiadomości zawiera archiwum na Bielanach. Autor broszury „Zakon Kamedułów w Polsce“, p. Ludwik Zarewicz, członek komisji historycznej przy Towarzystwie naukowem krakowskiem, powiada, że nie tylko jest wzorowo uporządkowane, ale zawiera też bardzo bogaty materiał do historyi tego Zakonu w Polsce od samego początku (1605) aż do ostatnich zasów. Są tam wszystkie wizyty przełożonych, akta kapituł, różne listy ci korespondencye, rejestra, inwentarze ekonomiczne i t. d., a wszystko w rzadkim komplecie i porządku. Rzecz to naprawdę pozazdrosczenia godna.

Z podróży na Wschód.

(Ciąg dalszy).

25. Z działalności naszego Zgromadzenia w Syrii.

Podwaliny do pracy katolickiej w Syrii położyli OO. Jezuici. Aż do roku 1625 nie wolno było w Syrii misyjonarzom katolickim spełniać jakiejkolwiek szerszej misyjnej działalności, tylko OO. Franciszkanie posiadali tam swe klasztory, przeważnie jako hospicya, by w nich przyjmować pielgrzymów, udających się do Palestyny. W wielu miastach nawet nie tolerowano najmniejszego prywatnego oratoryum, i tylko po kaplicach, znajdujących się przy konsulatach można było odprawiać Mszę św. Dopiero w roku 1625 udało się OO. Jezuitom osiedlić na stałe w Aleppo. Stąd Zgromadzenie to rozciągnęło korzenie swe po całym Libanie: i tak w roku 1643 założyli dom w Damaszku, w roku 1644, w Sydonie (Saidzie) 1645, w Trypolis i cały szereg innych posterunków misyjnych. Tymczasem w roku 1773 nastąpiła kasata Zgromadzenia OO. Jezuitów, a całą ich dotychczasową misję poleciła Stolica Apostolska opiece Zgromadzenia Misyi. OO. Jezuici jednakże w znacznej części zostali na dotychczasowych posterunkach w charakterze księży świeckich, a niektórzy z nich przyłączyli się do naszego Zgromadzenia, i długie lata pomagali w zbożnej pracy naszym konfratrom. Potrzeba było 50 lat, zanim praca naszych księży zapuściła głębsze korzenie. Rewolucya francuska wyrządziła bowiem Zgromadzeniu ogromne szkody, tak, że nie było ono zdolne zaopatrywać misję syryjską w odpowie-

dnia ilość pracowników. Przytem wielu ich umierało w wczesnym wieku w Syrii, wskutek trudów, do których nie byli przywykli. To też aż do roku 1830 praca konfratrów wydawała bardzo szczupłe owoce. Musieli zwinąć dom w Sydonie, jednakże utrzymali misye założone przez Jezuitów w Aleppo, Tripolis, Sgorta, Damaszku i Anturze. Szczególniejsze zasługi koło rozwoju misyi w Syrii położył ks. Poussou, któremu udało się odrestaurować kaplicę w Damaszku, mimo fanatyzmu muzułmanów, którzy nie pozwalali ani na budowę świątyni ani też na restaurację walcących się kościołów. Rok 1831 stanowi datę przełomową w historii Zgromadzenia w Syrii. Właśnie wtenczas pasza egipski Mehemet-Ali zadał dotkliwy cios Turkom na Wschodzie. Ambitny ten władca zbuntował się przeciwko Sułtanowi, najechał Syryę, a pobiwszy na głowę wojska tureckie pod Akko, wyparł, dzięki dalszym zwycięstwom dzielnego swego syna Ibrahima paszy, Turków z całego Libanu, zadał ponowną klęskę wojskom tureckim w Konje (Ikonium), posunął się aż do Skutari, tak, że już tylko Bosfor oddzielał go od Konstantynopola. Wówczas dopiero Rosya interweniowała na korzyść Sułtana i przyszło do układu 5-go maja 1833 roku, na mocy którego cała Syrya i Cylicya dostała się pod panowanie Egiptu, które trwało 10 lat. Epoka ta okazała się nader korzystna dla rozwoju misyi katolickiej na Wschodzie. Mehemet-Ali zrozumiał, że tylko przy pomocy państw europejskich potrafi utrwalić swe panowanie w Syrii; przeto też odnosił się bardzo życzliwie do misyonarzy katolickich, a zwłaszcza starał się pozyskać dla siebie chrześcijańską ludność Maronitów na Libanie. Właśnie na te czasy przypada działalność ks. Poussou w Syrii. Dekretem propagandy 1832 roku odłączono Syryę od prefektury apostołskiej w Konstantynopolu, i utworzono nową prefekturę w Trypolis, a pierwszym prefektem apostołskim został ks. Poussou. Pierwszym prawie czynem nowego prefekta było założenie Kolegium w Anturze na Libanie. Misyonarze odrazu zrozumieli, że nie wystarczy wiara, jaką wynosił lud

maronicki z domów rodzicielskich, choć była ona co prawda bardzo głęboka i szczerą, ale należało ją wzmocnić, a tymczasem cały naród Maronitów pogrążony był jeszcze wówczas w wielkiem nieuctwie i ciemnocie. To też aczkolwiek liczebnie przeważał w Syryi, jednakże przeważnie z braku głębszego wykształcenia naukowego, nie mógł wywierać wpływu, jaki mu się należał. W tym celu założono Kolegium, które ze słabych początków doszło do ogromnego rozkwitu.

W pierwszym roku swego założenia miało zaledwo 40 uczniów, a dzisiaj liczba ta dochodzi do pokażnej liczby 300 wychowanków. Kolegium w Anturze oparte jest na tych samych zasadach co znane nam już kolegia, Saint Bénoit, St. Georges, w Konstantynopolu, i kolegium Propagandy w Symrnie.

Położone jest w nadzwyczaj zdrowej okolicy, parę kilometrów na północny Wschód od sławnej rzeczki Nahar el Kelb, 200 metrów ponad poziom morza. Zakład urządzony jest z wielkim komfortem, na wysokiej starannie podmurowanej terasie rozkładają się trzy olbrzymie skrzydła z pięknymi podcieniami, obejmujące rozległe kwadratowe podwórze, skąd roztacza się cudny widok na Liban i morze, rozciągające się u jego stóp. Zaciszna kotlina zasłania tę uroczą miejscowość przed wichrami, a bliskość morza łagodzi upały letnie.

Zaciszne wiejskie w niczem nie zakłóca spokoju, potrzebnego do studyów. Miejsce to przytem przedstawia dla każdego gorącego Maronity szczególniejszy urok. Tuż naprzeciwko naszego zakładu wznosi się na malowniczem wzgórzu drzewami ocieniony klasztor, w którym mieszka głowa ich kościoła, następca św. Marona, Jego Świątobliwość Patriarcha Maronicki. Konfratrzy bardzo więc trafny uczynili wybór. Kolegium to cieszy się dlatego wielką sympatją wśród Maronitów, tem więcej, że nasi konfratrzy znani są z miłości do ich duchowieństwa i narodowości.

Konfratrzy postawili Kolegium to na bardzo wysokim naukowym poziomie, tak, iż nawet uniwersytet św. Jó-

zefa w Bejrucie i inne kolegia, z czasem powstałe, nie powstrzymały pięknego jego rozwoju. Nie tylko młodzież z Libanu, ale i z Palestyny, Egiptu udaje się tu dotąd po oświatę i naukę. Kolegium w Anturze przedewszystkiem ma za zadanie wykształcić cały zastęp inteligencji średniej, której tak bardzo potrzeba w Syrii. Głównym celem jest zapoznanie uczniów jak najgruntowniej z językami: arabskim, tureckim, francuskim i włoskim, i z naukami przyrodniczo-matematycznymi. Jak już wspomniałem przy opisie Koleg. św. Benedykta, konfratry nasi przyjmują do swych Kolegiów nie tylko chrześcijan wszystkich obrządków, ale także młodzież muzułmańska znajduje do nich przystęp. O nawróceniu bowiem muzułmanów na chrześcijaństwo na razie mowy jeszcze być nie może, gdyż istnieją srogie prawa zabraniające przejście z Islamu na naszą religię.

Ludność muzułmańska nadto, zwłaszcza zamieszkująca Liban, Ausarie i Metualisi, przesiąknięta jest wielką nienawiścią do wszystkiego, co nie muzułmańskie. Przyjmując przeto do swoich Kolegiów młodzież muzułmańską, temsamem zapoznawają ją z dobrodziejstwami cywilizacji chrześcijańskiej, a zarazem zaskarbiają sobie przywiązanie uczniów i ich rodziców, co niezmiernie przyczynia się do rozszerzenia ciasnego widnokregu wyznawców Islamu. Działalność ta w szkole ułatwia w dalszym ciągu pracę misyjną, gdyż i władze, widząc błogosławiony wpływ ich szkoły, z coraz to większą życzliwością odnoszą się do Misyonarzy katolickich. Obok kolegium w Anturze posiada prowincya syryjska drugie takie samo w Damaszku. Założono je 50 lat później w roku 1884, lecz już dzisiaj znajduje się w podobnie kwitnym stanie jak tamto. Razem z eksternistami liczy przeszło 200 wychowanków. Młodzież tam przeważnie jest muzułmańska, gdyż na 140 tysięcy mieszkańców jest w Damaszku zaledwie 30.000 chrześcijan. Widzimy zatem, że głównem polem pracy naszych konfratrów w Syrii to szkolnictwo.

Zgromadzenie nasze ma na Libanie tę zasługę, że pierwsze na szerszą skalę zajęło się sprawą szkolną. Obecnie liczba Kolegiów wzrasta coraz więcej, bo ludność coraz to bardziej rozumie potrzebę nauki. Również Misyjonarze, już choćby z chęci przeciwdziałania szkodliwym wpływom różnych sekt protestanckich, muszą pielęgnować naukę, aby odciągnąć katolicką młodzież od szkół angielskich, amerykańskich i niemieckich, prowadzących w szkole na szeroką skalę propagandę religijną.

Szkoły katolickie dzięki poświęceniu się misjonarzy coraz to bardziej kwitną i rozwijają się; nawet pisarze protestancy przyznają wielką wartość szkolnictwu katolickiemu. Toteż cieszyć się należy, że za przykładem OO. Jezuitów i naszych konfratrów i Sióstr inne także Zgromadzenia, jak Franciszkanie, Kapucyni, Bracia szkolni, Dames de Nazareth, Siostry Serca Jezusowego, Boromeuszki etc., otwierają coraz to nowe zakłady naukowe. Także duchowieństwo i zakony Maronickie za przykładem zakonów europejskich na tem polu ogromnie dużo pracują. Bo też dzisiaj niebezpieczeństwo coraz większe. Misya amerykańska posiada tak zwane Collège Américain, przy którym znajduje się teologiczne seminaryum, seminaryum nauczycielskie, obserwatorium, fakultet medyczny. Na prowincyi zaś ma 120 szkół z 5.550 uczniami i uczenicami. Obok tego 106 stacyi misyjnych. Brytyjskie Misye liczą w różnych stacyach misyjnych w 35 szkołach 3.500 uczniów.

Szkoły wyższe są prowadzone przez samych naszych konfratrów, ale obok tego starannie pielęgnowają także szkoły ludowe i szkoły żeńskie.

Już wspomniałem, że tak OO. Jezuici, jak i nasi księża zaraz w początkach swojej misyi na Wschodzie nadzwyczajną opieką otaczają szkoły ludowe. Starają się zakładać coraz to nowe szkoły po wsiach, których kierownictwo powierzają zazwyczaj ubogiemu klerowi parafialnemu, któremu wypłacają pensję w postaci stypendyów mszalnych. Szczególniej błogosławiony wpływ wywierają takie szkoły w wio-

skach mieszanych, o ludności chrześcijańskiej i muzułmańskiej. Nauczyciel obok pierwszych zasad czytania i pisania ma nieraz sposobność pomówienia o Bogu, o rzeczach religii, o czem często tak mało wiedzą dzieci muzułmańskie. Jak widać z relacyi naszych konfratrów, Druzowie zwłaszcza bardzo chętnie posyłają swe dzieci do szkół prowadzonych przez misyonarzy katolickich, co niezmiernie przyczynia się do łagodzenia naprężonych wciąż stosunków między Druzami a Maronitami.

Takich szkół na Libanie mamy 266; z nich 154 stoi pod kierunkiem OO. Jezuitów, a 112 pod kierunkiem naszych konfratrów. Ogółem w szkołach tych przeszło 12 tysięcy chłopców otrzymuje pierwsze wykształcenie ¹⁾.

Zgromadzenie pomyślało także zawczasu o założeniu szkół dla dziewcząt. Nie było to rzeczą łatwą. Pierwszą tego rodzaju szkołę założył w roku 1834 ks. Poussou. Sam opisuje nam, na jakie trudności napotykała pierwsza ta szkoła. W jednym z listów, pisanych do konfratrów, z 20-go listopada 1834 roku, pisze, co następuje:

„Odważyłem się zawiadomić proboszcza maronickiego w Sgorta o moim zamiarze założenia szkoły dla dziewcząt.

„Na tę wiadomość wpadł on w taki gniew, iż myślałem, że mnie zacznie szarpać za brodę. Przecież chyba nie myślisz, rzekł mi, udzielać nauki czytania dziewczętom; bo czemuż jest kobieta lub dziewczyna? Ależ mój kochany proboszczu, odparłem, czyż kobiety nie mają duszy takiej samej jak mężczyźni? Na to odrzekł proboszcz: Wystarczy im kilka słów z nauki religii, gdyż większa nauka uczyniłaby je jeszcze gorszemi. Odpowiedziałem mu na to: Najlepszym sposobem nauczania kobiet niektórych zasad religii jest nauczyć je czytać. Czyż może myślisz, że wasze kobiety i córki będą mniej dobre, mniej skromne, jeżeli będą mogły czytać modlitwy kościelne i spędzać dni niedzielne na pożytecznej lekturze i przypominaniu sobie od czasu do czasu

¹⁾ Cfr. Piolet S. J. Les Missions catholiques françaises II. 546.

tych zasad religii, które tak łatwo ulatniają się z pamięci? W odpowiedzi na to odrzekł: Ani koncylium libańskie ani koncylium trydenckie nie poleca udzielać dziewczętom nauki czytania. Ależ mój księżu, odparłem na to, ani koncylium libańskie, ani Sobór trydencki też tego nie zakazują, i gdybyś dobrze wniknął w myśl obydwóch synodów, myślałbyś zupełnie inaczej; gdyż jeden i drugi nakazują proboszczom jak najsurowiej, by pouczali wiernych bez różnicy płci¹⁾.

Mimo trudności w zakładaniu szkół dla dziewcząt rozszerzyły się one jednak bardzo na Libanie tak, że obecnie przynajmniej 10 tysięcy dziewcząt uczęszcza do szkół ludowych na Libanie. Siostry Miłosierdzia i inne żeńskie Zgromadzenia utrzymują po większych miastach liczne bardzo zakłady, gdzie dziewczęta odbierają staranne bardzo wykształcenie i wychowanie. Toteż po miastach syryjskich liczba analfabetów jest stosunkowo bardzo małą. Szkoły też zostające przeważnie pod wpływem Misyonarzy francuskich, gdyż Jezuici pracujący w Syrii wszyscy są narodowości francuskiej, przyczyniły się niezmiernie do wzmocnienia wpływu Francyi, a język francuski jest tam dzisiaj ogromnie rozpowszechniony.

Zanim przystąpimy do skreślenia dalszej działalności obydwóch Zgromadzeń na Libanie, musimy jeszcze wspomnieć kilka wypadków historycznych, które wywarły decydujący wpływ na rozwój misyi. Musimy się także bliżej przypatrzeć ludności zamieszkującej ten kraj, a zwłaszcza jego stosunkom religijnym²⁾.

Wspomnieliśmy już, jak wielki wpływ wywarła na zmianę stosunków na Libanie okupacja Syrii przez Egipt. Młodzieńcza dynastia egipska rozumiała doskonale, że ustalić może w Syrii swe panowanie jedynie przez daleko

¹⁾ Cfr. Piolet, l. c. II., 508).

²⁾ Cfr. Ks. Saliège, Lettre à M. Terrason, Annales de la Mission, r. 1885, str. 337—429.

idące reformy społeczno-polityczne. To też na oścież otworzono przystęp Europie. Niestety stosunki te panowały zbyt krótko, gdyż już po 10-ciu latach odzyskała Turcja na nowo władzę w Syrii. O ile dynastia egipska opierała się na elemencie chrześcijańskim, o tyle znowu Turcja chciała podnieść wpływ Islamu. Liban w przeważnej części zamieszkują Maronici (przeszło 300 tysięcy). Lud to bardzo głęboko religijny i chlubiący się, że jeden tylko ze wschodnich narodów nigdy nie zerwał stosunków kościelnych z Rzymem. Jako swego ojca i patrona narodowego czczą św. Marona. Był on współczesny św. Janowi Chryzostomowi, i swoją świętością obronił swój naród przed zarzą nestoryanizmu. W klasztorach, jakie powołał do życia, czerpał przedewszystkiem naród maronicki swą siłę i żywotność religijną. Maronici posiadają osobny obrządek i liturgię w języku syryjskim, a najwyższą głową Kościoła, a zarazem naczelnikiem narodu jest patriarchy wybierany przez episkopat, a zatwierdzany przez Rzym. Przy boku patriarchy znajduje się 9-ciu arcybiskupów, którzy zazwyczaj rekrutują się z bardzo gorliwego i światłego duchowieństwa zakonnego. Rezydencją Patriarchy jest klasztor Bkerke, położony naprzeciw naszego Kolegium w Anturze. Aż do czasów okupacyi przez Egipt rządy narodowe były feudalne. Na czele narodu stały dwa potężne rody książęce: rodzina emirów Schechab i emirów Bellama. Obok tych rodów książęcych istniała szlachta rozpadająca się na 5 grup. Resztę zaś narodu stanowił lud trudniący się przeważnie uprawą roli i hodowlą jedwabników. W czasie wojny egipskiej jedność narodowa Maronitów ogromnie ucierpiała, a kiedy Turcy odzyskali władzę w Syrii, starali się na wszelki sposób podtrzymać zawiść pomiędzy poszczególnymi rodami szlacheckimi, a zwłaszcza podługano lud prosty przeciwko szlachcie. Już w roku 1858 przyszło na Libanie do wielkich rozruchów.

Na czele zbuntowanego ludu stanął chłop Tannaus Szahin, który przedewszystkiem zwracał się przeciwko

szlachcie, a także mścił się na Metualisach zamieszkujących el Bika, to jest równię między Libanem i Antylibanem, za co też oni wywarli dwa lata później na Maronitach straszliwą zemstę.

Obok Maronitów zamieszkuje Liban szczerp im zupełnie pokrewny, a noszący nazwę Druzów. Maronici zamieszkują Liban na północ od Nahar el Kelb aż do Aleppo, Druzowie zaś na południe od Naher el Kelb aż po Tyr i Sydon. Chociaż obie te narodowości mówią jednym i tym samym językiem, mają jedne i te same obyczaje, różnią się wszakże religią. Religia Druzów jest jeszcze dzisiaj osłonięta pewną tajemnicą. Wierzą oni w jednego najwyższego Boga, z którego jednakże wychodzą drogą emanacji różne duchy, które kolejno wcielały się w historię. Jako najwyższą inkarnację bóstwa uważają kalifa egipskiego Hakema-Biamr-Allah. Panował on w Egipcie koło roku 1000, jako trzeci z rzędu władca z dynastji Fatemidów. Bezpośrednio z Hakema wyłoniło się 8 innych emanacji, z których najważniejszy eon zowie się Hamzau Gabriel. Otóż ten eon w ich mniemaniu jest twórcą chrześcijaństwa i Islamu. To też Druzowie ogromnym szacunkiem otaczają Ewangelię i Koran, pozatem wierzą w metempsychozę: człowiek tak długo się odradza, dopóki nie dojdzie do najdoskonalszego poznania wszystkich tajemnic, i wtenczas dopiero może się dostać do przybytku światła nazwanego Iman. Obydwa te narody przez długie wieki żyły w zgodzie z sobą, dopiero gubernatorowie tureccy w XIX. wieku obudzili tę wielką nienawiść, z jaką się dzisiaj wzajemnie prześladują. Nienawiść ta wybuchła też jasnym płomieniem w formie rzezi w roku 1860. Rzeź tę wszczęli gubernator Damaszku Ahmed-Pasza w porozumieniu z gubernatorem Bejrutu Kurschid-Paszą. Aby zaś ostatnie usunąć skrupuły ludności muzułmańskiej wydali ulemowie fetwę, pozwalającą na rzeź niewiernych. Pozyskano dla tej rzezi także Druzów w tej myśli, żeby mieć po swej stronie Anglię, która bardzo sprzyjała i popierała Druzów. Wówczas to rozegrał się

straszny dramat na górach Libanu. Rozpoczął się rzezią w Damaszku, gdzie tłum w pień wyciął wszystkich OO. Franciszkanów i wielu bardzo chrześcijan. Konfratrzy nasi i Siostry wraz z wychowankami uszli śmierci, dzięki opiece Abd-el-Kadera, księcia algierskiego, który późną nocą wyprowadził Siostry Miłosierdzia, ich sieroty, naszych Konfratrów z ich domów i dał im wszystkim bezpieczne schronienie w swoim pałacu. Dlatego też nasi konfratrzy żywią po dziś dzień dla jego rodziny słusznie najwyższą cześć.

Na to hasło dane z Damaszku rozpoczęła się rzeź Maronitów na całym Libanie. Szczególnie wielu zginęło w Muallaka, el-Kamar i zanim nadeszło regularne wojsko sułtańskie i wojska francuskie, około 8 tysięcy chrześcijan padło pod nożem rozfanatyzowanych muzułmanów.

Widzimy więc, że na Libanie rząd turecki odgrywał tę samą politykę, jaką w naszych czasach objawiał względem Ormian. Wywołało to naturalnie interwencję mocarstw Europy /zwłaszcza Francji i wówczas to Liban odzyskał znaczny samorząd. Najwyższą władzę sprawuje tam gubernator mianowany bezpośrednio przez Sułtana, a może gubernatorem być tylko katolik. W ostatnich czasach bardzo wielką popularność, jako rządca Libanu, zdobył sobie Polak Czaykowski, syn znanego powieściopisarza. Wzmógł się odtąd szczególnie wpływ Francji, która wielką opieką otaczała chrześcijan, a przede wszystkim zakony pracujące wśród Maronitów.

Od roku 1860 cieszą się katolicy na Libanie zupełną wolnością religijną, zatem i działalność Misyjonarzy nie doznaje żadnej przeszkody, temwięcej, że światło, wyższe duchowieństwo Maronitów doskonale ocenia pracę Misyjonarzy europejskich i wszelkimi sposobami ich popiera. Po strasznych rzeziach zajęto się sierotami, a ich liczba dochodziła kilkunastu tysięcy. W tym celu tak OO. Jezuici, jak i nasi Konfratrzy przy pomocy Sióstr Miłosierdzia pootwierali cały szereg domów, gdzie sieroty otrzymały nietylko przytułek, ale zarazem i staranne wychowanie chrześcijańskie, a przez

wyuczenie ich rzemiosł pożytecznych i odpowiednich dano im możność uczciwego zarobku na przyszłość. Ile nadzwyczajnych rzeczy Siostry zdołały, zaraz poniżej zobaczymy.

Zgromadzenie nasze na Libanie z wielkim pożytkiem także prowadzi dzieło misyj ludowych. Już koło roku 1830 za rządów ks. Poussou były misye ludowe w nadzwyczaj kwitnym stanie. Obecnie posiadają nasi konfratry na Libanie trzy domy specjalnie poświęcone misyom; mianowicie w Brummana, Trypolis i Akbes (pod Aleppo). Miejsowości te tak są rozłożone, że Misyonarze mogą stale prawie przez cały rok w promieniu dwóch do trzech dni, chodzić od wioski do wioski, głosić słowo Boże, przygotowywać do Sakramentów św., wprowadzać pokój w powaśnione rodziny.

Dom misyjny w Brummana położony jest w okolicy niezmiernie ulubionej przez mieszkańców Bejrutu. Są tam liczne wille letnie, gdyż miejscowość ta znajduje się 720 m. ponad morzem. Wspaniały widok na głębokie doliny, a szczególnie na stoki Libanu, najstaranniej uprawione. Wszędzie pełne ogrodów, winnic, a zwłaszcza dużo drzew morwowych, chodowanych z powodu jedwabników, karmiących się liśćmi morwy. Zatem praca to wielka dla naszych konfratrów; superyorem tego domu jest ks. Chiniara, urodzony na Libanie i szeroko znany kaznodzieja ludowy.

Misye na Libanie odbywają się jeszcze tak, jak było za czasów św. Wincentego. Ponieważ wioski maronickie są bardzo maleńkie przeto zazwyczaj misye te odprawiają się w pojedynkę. Misyonarz przychodzi do wsi zamieszkuje w pierwszej lepszej chacie, dzień w dzień głosi słowo Boże w kościółku albo też chodząc po chatach, zabawia we wsi tydzień lub dwa, w ogóle tak długo, aż nie naprawi wszelkiego złego, jakie się wkradło pomiędzy owieczki. Misye te trwają cały rok z wyjątkiem miesięcy letnich od czerwca do października. Domy te misyjne zarazem otaczają troskliwą opieką szkoły ludowe, a prawdziwa miłość jaką konfratry

żywią dla duchowieństwa parafialnego wywiera także niezmiernie błogi wpływ.

26. Siostry Miłosierdzia i ich prace na Libanie.

Jużeśmy nieraz mieli sposobność podziwiać wielkie owoce pracy naszych Sióstr w Turcyi. Siostra Miłosierdzia jeszcze po dziś dzień uważana jest jako błogosławieństwo niebios, to też lud otacza ją niezmierną czią. Chociaż obyczaje wschodnie zamykają kobietę w ścianach domu, to jednakże Siostra Miłosierdzia wszędzie znajduje przystęp i wszystkie zwyczaje, tak surowo przestrzegane względem kobiet u Muzułmanów, ustają wobec naszych Sióstr. Po raz pierwszy przybyły Siostry do Syrii w roku 1847. Sprowadził je tu ks. Leleu, którego znamy już z jego nadzwyczajnej działalności w Konstantynopolu. Pierwszą przełożoną Sióstr była Siostra Gélas znana z wielkiego swego poświęcenia w Smyrnie. Odrazu założono w Bajrucie dom de la Miséricorde, który jest dzisiaj domem macierzystym Sióstr prowincyi syryjskiej, a z którego jakby z korzenia wyrosły wszystkie inne posterunki w Syrii. Jeszcze przed rokiem 1860 powstały domy inne w Bejrucie i Damaszku. Szczególniej jednak od tego pamiętnego roku wzmogła się praca Sióstr Miłosierdzia na Libanie. Odrazu otworzono dla sierót pomordowanych Maronitów dom, w którym pomieszczono 500 dzieci. Tam otrzymały bardzo staranne wychowanie. Przy domu tym znajdował się także szpital i żłóbek dla podrzutków. Dzisiaj szpital przeniesiono do zupełnie innej dzielnicy, który jest tak wzorowo urządony, że odbywają w nim praktykę studenci medycyny uniwersytetu św. Józefa. Dom podrzutków przeniesiono do wioski Z u k - M i c h a i l, gdzie znajdują staranniejszą opiekę. Jednakże w domu de la Miséricorde pomieszczono tylko same dziewczęta. Także dla chłopców potrzeba było podobnego zakładu, tem więcej, że zakłady OO. Jezuitów w Bejrucie, Bikfaja i Saidzie nie były w stanie pomieścić wszystkich chłopców pozbawionych opieki rodzicielskiej. Co potrafi serce niewieście

ożywione miłością chrześcijańską, to najlepiej pokazuje się w Zakładzie sierót św. Karola, założonym przez jedną z naszych Sióstr. Jest nią Siostra Meyniel, która powodowana miłością chrześcijańską już w roku 1881 zebrała 150 chłopców, kupiła dla nich obszerny plac, dotykający do domu de la Miséricorde, i zbudowała dla nich obszerny nadzwyczaj gmach. Dookoła dużego a pięknego wirydarza wznosi się dwupiętrowy budynek, o czterech skrzydłach, którego dwupiętrowe galerie wychodzą na pięknie utrzymany ogród. W domu tym znajduje pomieszczenie dzisiaj 300 ubogich chłopców, gdzie nie tylko otrzymują staranne wychowanie, ale zarazem pracami swojemi przyczyniają się do utrzymania zakładu. Zwiedzając n. p. zakład Ks. Ks. Salezjanów w Oświęcimie podziwiamy wielkie dzieła, jakie się tam spełniają, Wszakże zakład św. Karola o wiele przewyższa najwzorowsze tego rodzaju zakłady, jakiebyśmy mogli widzieć w kraju. Jest to nie tylko zakład wychowawczy, ale zarazem pierwszorzędny dom przemysłowy i fabryczny. Mamy tutaj znakomicie urządzone warsztaty szewskie, kowalskie, krawieckie, stolarskie, ślusarskie, snycerskie i t. d. Przewszystkiem znajduje się pierwszorzędna fabryka jedwabnictwa. Cała praca odbywa się przy pomocy najnowszych maszyn i motorów. Siostry Miłosierdzie przyświecają naturalnie przykładem w pracy i poświęceniu. To też towary, jakie ten dom wytwarza, choć wykonane ręką dziecięcą, posiadają jednak pierwszorzędną wartość. Wszystkie wyroby tego domu znajdują doskonały i pewny zbyt na targach w Paryżu. Szczególniej podziwiać tu należy, wszystkie wyroby jedwabnicze. Mali chłopcy od 12—15 lat na podstawie wzorów, dostarczanych im przez Siostry wykonują na maszynach tkackich prześliczne kaszmiery, bardzo cenione w handlu europejskim. To też Siostra Meyniel założycielka i kierownicza tego zakładu cieszy się niezmierną czcią w całym Bejrucie. Właśnie bawiąc w tem mieście 25-go marca 1908 roku natrafiłem na jej 50-letni jubileusz powołania. Trzeba było widzieć te tłumy wychowanków, jakie się wów-

czas skupiły koło swej matki. Nie tylko sieroty zakładowe, ale poważni mężczyźni, którzy dzisiaj prowadzą własne warsztaty w mieście, z dziecięcą radością obchodzili święto swej opiekunki. Prawdziwie podziwiać trzeba, że jak dorośli mężczyźni z prawdziwie synowską miłością i przywiązaniem odnoszą się do Sióstr.

Siostry kierują nie tylko warsztatami, ale kapelmistrzem jest także Siostra, dowodząca chórem muzycznym złożonym z 40 wosaty ch muzykantów. Bawiło mię to niezmiernie, gdy zastałem raz Siostrę kierującą w czasie próby muzycznej taką kapelą. Przez pracę pełną zaparcia Siostry nie tylko zabezpieczają wiele dzieci przed zwyrodnieniem i nędzą, ale zarazem przykładem swoim przyczyniają się do podniesienia szacunku dla kobiety. Naród przez nie poznać może, że tylko religia chrześcijańska nauczyć może niewiasty cnót wielkich i może je doprowadzić do wysokiej doskonałości.

Przy każdym prawie domu Sióstr Miłosierdzia znajduje się ambulatoryum, gdzie tysiące chorych ubogich otrzymuje bezpłatne lekarstwa i pomoc. W jednym z takich ambulatoryów rocznie do 12 tysięcy chorych doznaje opieki lekarskiej, a w Damaszkku przy dwóch ambulatoryach zgromadza się co roku około 140 tysięcy różnych biedaków i nieszczęśliwych.

Ks. W. Michalski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Złote gody kapłańskie Najczcig. Księdza Kiedrowskiego.

Minęło lat dwanaście od pamiętnej chwili, w której pięćdziesiątą rocznicę swego kapłaństwa święcił wielkiej pamięci ks. Soubieille. Jeszcze dotąd nie zatarała się ona w naszych wspomnieniach, bo wielką była, bo związaną ściśle z dziejami naszej kochanej prowincyi polskiej. Wtedy w jej imieniu przemawiał do ówczesnego Jubilata Najczcig. ksiądz Kiedrowski, zaczynając od słów: „Pięćdziesiąt lat przeżyć — to już wiek poważny i wielka rzecz, a pięćdziesiąt lat być kapłanem, to jest coś tak cudownego, że tego ocenić i wysłowić nikt nie potrafi“. Nie przeszło Mu zapewne wtedy przez myśl, że i Jemu przeznaczonem było w wyrokach Opatrzności dożyć tej chwili, tak cudownej naprawdę.

Jak przed laty dwunastu około ś. p. ks. Soubieille'a, tak w roku bieżącym skupiliśmy się około Najczcig. ks. Kiedrowskiego, daleko liczniejsi już, a liczniejsi w niemałej części Jego pracą i Jego bólem.

Na parę tygodni przedtem obiegł prowincyę całą okólnik Przew. księdza Wizytatora, zapowiadający uroczystą tę chwilę. Wybrano na ten obchód uroczystość Przeniesienia Relikwii św. Wincentego, bo Najczcig. ks. Jubilat tak żywo nam przypomina św. Ojca naszego, tak głęboko jego duchem jest przejęty, w ten zatem sposób święto samo tem droższem się dla nas stać miało i tem głębiej zapisać się w sercach.

Rzecz naturalna, że kulminacyjny punkt miał być w Domu Centralnym na Kleparzu. Nie dała się jednak uprze-

dzie **Sokołówka**, gdzie tyle lat pracował ks. Jubilat. Obchód tamtejszy opisuje lwowska *Gazeta Narodowa* z dnia 21-go kwietnia w sposób następujący :

„W zacisznej Sokołówce (ad Bóbrka) obchodził dnia 18-go b. m. uroczystość jubileuszu 50 lat kapłaństwa, ks. Józef Kiedrowski, kapłan Zgromadzenia księży Misyjonarzy dawny wizytator tegoż Zgromadzenia na prowincję polską i szeroko znany kaznodzieja tak w Galicyi jakoteż w Księstwie Poznańskiem. Dziś po trudach i znojach pozwolił mu Bóg, że w czerstwym zdrowiu i pogodzie ducha patrzy na bogaty plon swych prac apostołskich. Obchód jubileuszowy, choć szczupłemu kołu wiadomy, odbył się bardzo uroczystie, bo wyplął ze serc wdzięcznością przepelnionych ludu Sokołówki i wiosek okolicznych, dla których ks. Kiedrowski jest wyrazem dobroci i poświęcenia się kapłańskiego bez granic, odkąd odsunawszy się z powodu wieku od pracy szerokiej, zacieśnił ją pracując dla ludu.

„Na obchód ten zjechało grono księży okolicznych: ks. Łoziński, proboszcz z Bóbrki, ks. Niedzielski z Bryniec i ks. dr. Badeni z Chodorowa. Dalej starosta z Bóbrki, p. Żurowski, oraz wielu kapłanów Zgromadzenia księży Misyjonarzy ze Lwowa i Krakowa, oraz znaczna liczba Sióstr Miłosierdzia, których ks. Kiedrowski był przez długie lata dyrektorem.

„Uroczystość zaczął „hołd“, złożony w Choderkowcach przez miejscową ludność oraz przez lud przybyły w procesjach z okolicznych wiosek, jak z Bryniec Górnych, Müblbacha i t. d. Nasamprzód dzieci z ochrony Sióstr Miłosierdzia ubrane w bieli wyszczebiały udatne wierszyki rzucając pod nogi Jubilata kwiaty, symbole tych cnót, jakieni czcigodny ten starzec szeroko słynie. Następnie wyraziły swe uczucia Dzieci Maryi miejscowe, a wreszcie jeden z gospodarzy w gorącej przemowie wyraził uczucia wdzięczności i przywiązania wszystkich, którzy doświadczają opieki troskliwej Jubilata. Z głosami tych serc prostych zmieszał swe gorące uczucia dla Jubilata ks. Bożentowicz, proboszcz pa-

rafi Sokołowieckiej, starzec przeszło ośmdziesięcioletni, przyjaciel ks. Kiedrowskiego, a świadek długoletni cnót i prac jego. Pięknie zastosował do niego słowa liturgii kościelnej powtarzane w dniach uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego: *Haec dies, quam fecit Dominus, exultemus et laetemur in ea!* Imieniem Zgromadzenia księży Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia wypowiedział życzenia dla Jubilata ks. Kasper Słomiński, wizytator Zgromadzenia księży Misyonarzy i obecny dyrektor Sióstr Miłosierdzia. Następnie udał się lud procesyjnie do kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Choderkowcach, która stanęła tu przed kilkunastu latami głównie staraniem ks. Kiedrowskiego. Tutaj ks. Słomiński odprawił ceremonie liturgiczne nad Jubilatem, wręczając mu łaskę jubileuszową obwiniętą mirtem oraz wieniec rozmarynowy na głowę.

„Po skończeniu ceremonii liturgicznych ruszyła ślicznie rozwinięta procesja ludu z chorągwiami brackimi do Sokołówki, o kilometr od Choderkowiec oddalonej. Tutaj odprawiła się z asystą kapłanów uroczysta Msza św. przez Jubilata przy ołtarzu polowym; prześliczna bowiem pogoda wiosenna niezmiernie sprzyjała uroczystości jubileuszowej. Piękny był widok tych tłumów różnobarwnych rozmodlonego ludu na tle kobierca świeżej zieleni.

„W czasie Mszy św. wypowiedział kazanie ks. Łoziński, proboszcz z Bóbrki, wyłuszczając nasamprzód ogólnie, czem jest kapłan dla społeczeństwa katolickiego, a potem zwróciwszy się do Jubilata, przypomniał obecnym zasług czcigodnego Jubilata ks. Kiedrowskiego. Z naciskiem podniósł jego dziwny dar słowa, którem na rekolekcyach kapłańskich krzepił ducha współbraci Potędze jego wymowy nikt nie zdołał się oprzeć — sama wiadomość, że dla kapłanów rekolekcyje będzie miał ks. Kiedrowski, ogromnie powiększała szeregi kapłanów, którzy pragnęli się w swej pracy pokrzepić słowem gorącego kaznodziei i przykładem świątobliwego kapłana.

„Po ukończeniu Mszy św. odśpiewano hymn *Te Deum laudamus* na podziękę Bogu za łaski zlane na Jubilata i lud

za jego pośrednictwem. Poczem ks. Jubilat udzielił kapłanom, Siostrom Miłosierdzia i zebranemu ludowi błogosławieństwa.

„Po skromnem posiłku, przeplatany miłemi wspomnieniami związanemi z osobą Jubilata, przy wygłoszeniu toastów, odbyło się po południu przedstawienie sceniczne w ochronce Sióstr Miłosierdzia w Choderkowcach. Obecni z wielkiem zdziwieniem przypatrywali się producyom wcale udatnym wiejskich aktorów, którzy sztukę religijną pod tytułem: „Św. Barbara“, na tle stosunków rzymskich, odegrali ze zrozumieniem i głębokiem przejęciem się. Przychodziło na myśl, jak piękne zadanie do spełnienia ma na wsi teatr włościański. Rzęsiste też oklaski i składka na rzecz ubogiej młodzieży zakończyła przedstawienie.

„Obecni unieśli ze sobą nietylko miłe wspomnienia z uroczystości jubileuszowej, ale także przekonali się nacznie, jakie owoce wydać może praca kapłańska na wsi, jeżeli tylko prowadzona jest umiejętnie i z gorliwością kapłańską. Wdzięczne serca ludu i ich gorące modły do Boga są wielką zapłatą!“

W Krakowie. Na Kleparz zawitał Najczcigodniejszy ks. Jubilat w czwartek dnia 27-go kwietnia. W następnych dwóch dniach zjechali też księża Superyorowie wszystkich domów w Galicyi i na Bukowinie oraz niektórzy inni Konfratry.

W sobotę 29-go kwietnia, około godziny 2-giej po południu zgromadzili się wszyscy przedstawiciele prowincyi, wraz z księżmi, klerykami i braćmi trzech domów krakowskich, w pięknie udekorowanej sali seminaryjnej, by złożyć hołd Jubilatowi. Najpierw chór kleryków odśpiewał przepięknie pełną treści podniosłej kantatę.

Potem Przewielebny ks. Wizytator przemówił w imieniu całej prowincyi w te słowa:

„Czcinajgodniejszy nasz Ojcze Jubilacie!

„Ogłaszając Konfratom ten dzień radosny Twego jubileuszu, który nas tak licznie tu około Ciebie zgromadził, na-

pisałem, że jubileusz ten wszystkim nam jest szczególnie drogim i pragniemy, aby był jak najuroczystszym. Nie mogłem wtedy obszerniej wytłómaczyć powodów i nie czułem też potrzeby tego, bom pisał do Konfratrów, których serca czuły te powody lepiej, niż ja bym je wytłómaczyć zdołał, i powiedziały im więcej, niżbym ja mógł napisać. Dziś jednak, gdy jubileusz ten święcić poczynamy, nie do Konfratrów wszystkich, ale do Ciebie Czcigodny Jubilacie odezwać się mi każe serce i mówić w imieniu Konfratrów upoważnia mój urząd. Tobie zaś wytłómaczyć się z tego dokładniej jest naszą powinnością przy okazji takiej, jak dzień dzisiejszy.

„Trzeźwo zrozumiana miłość wzajemna i bojaźń, aby się nie wkraść między nas zwyczaj pochlebiania sobie i uwielbiania się wzajemnego, zakazuje nam zwykle mówić sobie wzajemnie to, co dla siebie czujemy. O uczuciach zresztą, które nam są bardzo drogie i święte, nie można mówić na dniu powszednim i w tonie codziennym, bo skrzywdziłyby te uczucia można i nie wyrazić ich tak, jak przystoi. Stąd może i czasem nie znamy się należycie pod względem naszych uczuć wzajemnych. Znać się jednak powinniśmy, zwłaszcza w stosunku do tych, o których Apostoł mówi: *Rogamus vos, fratres, ut noveritis eos, qui laborant inter vos et praesunt vobis in Domino et monent vos, ut habeatis illos abundantius in caritate, propter opus illorum* (1. Thes. V. 12). Mamy Cię obowiązek znać, a więc i z uczuć, któreś w sercach naszych rozbudził, mamy sobie zdać sprawę. I oto dzień taki, jak dzisiejszy, co wszędzie i zawsze zaliczany bywa do dni najuroczystszych, nadaje się na to, abyśmy się Tobie wypowiedzieli szczerze i otwarcie. Z radością więc powtarzamy: *Haec dies quam fecit Dominus*. Oto dzień radosny, na któryśmy czekali, bo to dzień, w którym przecie mamy sposobność całkowicie otworzyć Ci serca.

„Serca te, dziś całkowicie przed Tobą otwarte, chcą Ci wypowiedzieć przedewszystkiem swoją wielką ku Tobie

cześć, niezatartą nigdy wdzięczność i jak najgorętszą miłość. A co w nich rozbudziło i ustaliło te uczucia? *Propter opus tuum*. Twoje życie kapłańskie w Zgromadzeniu, które jest tem wspaniałem *opus*.

„W tem zaś życiu Twojem rozbudziła w nas przedewszystkiem cześć głęboką ku Tobie Twa praca, o której słowami Apostoła mógłbyś powiedzieć: *Existimo nihil me minus fecisse a magnis apostolis. In labore, in aerumnis, in vigiliis multis*.

„Wiemy o tem i dobrze pamiętamy, żeś przyszedł do Zgromadzenia tutaj, gdy nic prawie nie było, a wszystko było trzeba zrobić. Odnowicielem prowincyi polskiej i jej jakby założycielem nazywamy słusznie ś. p. ks. Soubieille'a, ale zdajemy sobie sprawę z tego, że jeżeli on był Ezdraszem, przysłanym do tej Jerozolimy naszej, aby rządzić, Tyś był Nehemiaszem, którego tu popchnęła żądza pracy i pragnienie, aby mury tej Jerozolimy odbudować. I dokonałeś wysiłkami swymi cudu podobnego, jak Nehemiasz, który w 52 dniach postawił mury, wieżycy i bramy Jerozolimy. I Ty także w krótkim stosunkowo czasie postawiłeś w naszej prowincyi ukochane dzieło misyi, wskrzesiłeś piękne dzieło rekolekcyi i tyle innych dzieł, któremi się prowincya nasza cieszy, a które pracą swoją zapoczątkowałeś. Ale też jak Pismo św. o Nehemiaszu mówi, że ani szaty nie składał do odpoczynku ze siebie, zawsze gotowy do pracy i walki, tak też podobna była praca Twoja, Czcigodny Jubilacie. Bóg Cię obdarzył, Czcigodny Jubilacie, darem wymowy i gorącym sercem. I ta żądza pracy, darem owym wsparta i gorącym sercem rozniecana, kazała Ci hojnie rozsypywać perły słowa Bożego. A perły te lśniące tak obficie przez Ciebie rzucone opromieniły prowincyę w samych jej początkach chwałą i zjednały jej cześć. Za tę cześć, jakąś Zgromadzeniu tą pracą swoją zjednał, uczucia też czci najgłębszej w sercach naszych są dla Ciebie.

„Nasza praca o tyle godna czci, bo ma wartość przed Bogiem i na Jego błogosławieństwo zasługuje, o ile w niej

zapominamy o sobie, a szukamy Boga. Najlepszym zaś probierzem, czy ona jest taką, to ochoczość i gotowość nasza z którą rzucamy jedną, a imamy się drugiej, gdy nam tak każe posłuszeństwo. Wielką Twą pracę podziwiając, czcimy Cię, Czcigodny Jubilaci, jeszcze więcej i dla tego, żeś w niej był, jak ci, z których się chlubił przed Panem Jezusem on setnik, a z których każdy, gdy usłyszał „pójdź“, przychodził, a gdy mu mówiono „idź“, odchodził. Cześć czujemy dla Ciebie wielką, gdyż podziwialiśmy tylekrotnie, że z równą ochotą spieszyłeś na misye, jak i do Seminaryum, aby wychowywać kler; równy bił z Ciebie zapał, gdyś uczył więźniów, jak kiedyś słowo Boże głosił kapłanom; z gotowością jąłeś się ciężaru przełożenstwa, aby go z taką gotowością złożyć, by pójść wychowywać i uczyć nas w Małym Seminaryum, i aby stamtąd znów pójść tam, gdzie pod ciężarem przełożenstwa uczyć miałeś Misyonarzy pracy duszpasterskiej. Nie widzieliśmy Misyonarza, któryby w równej mierze i z równą ochoczością, a z zapomnieniem o sobie, na głos posłuszeństwa rzucał jedną pracę, a miał się innej, gdy go tam było potrzeba.

„Gdy wiemy, jak praca o tym charakterze trudna jest i dzisiaj rzadka, nie dziw, że cześć najgłębszą czujemy dla Ciebie, Czcigodny Jubilacie, gdy przykładem takiej właśnie pracy przez całe życie w Zgromadzeniu jaśniałeś.

„Za temi uczuciami czci rozbudziła się w sercach naszych i niewygasła wdzięczność. Kochamy wszyscy całą gorącością serc naszych tę prowincję naszego Zgromadzenia. Prowincya ta to odrodzona prowincya polska, którą tak kochał św. Wincenty; to prowincya, która nas sobie z trudem wychowała; to prowincya nasza, a więc z tylu względów nam droga. Za to, że ją mamy, że się nią dzisiaj cieszymy, że w niej pracować możemy, winniśmy wielką wdzięczność Tobie, Czcigodny Jubilacie.

„Wdzięczni Ci jesteśmy również za przykłady Twoje, boć Ty jesteś z tych, *qui monent nos*. Przedewszystkiem podziękować Ci uroczyście chcemy za przykład miłości

powołania i wierności dla niego. Przyszedłeś do Zgromadzenia *calcato patre, matre et sorore*, a w tak długim życiu misyonarskiem doświadczyłeś tego, że śluby święte złożyć, to znaczy przybić się do krzyża z Chrystusem, że na tym krzyżu tak samo, jak Boski Mistrz, każdy dobry uczeń słyszy krzyki: „Zstąp z krzyża“, że nieraz przyłącza się do tego i pytanie: *Quae utilitas in sanguine meo?* „jakiż pożytek z tego potu mego i z tego wyniszczenia się? gdzie owoce, gdzie przynajmniej uznanie?“ — Zawsze równie do powołania przywiązany, uczyłeś nas przykładem, że nie my Bogu i powołaniu robimy łaskę, gdy Mu się oddajemy, ale łaskę i miłosierdzie Jego mamy wielbić za to, że nam to powołanie daje i w niem zachowuje. Kiedy zaś zawsze tak samo miałeś dla Zgromadzenia gorące serce i zawsze równie sprawom jego byłeś oddany, mówiłeś nam, że tak samo godne jest Zgromadzenie i sprawy jego naszej miłości wtedy, gdy my temi sprawami kierujemy, jak i wtedy, gdy dla nich tylko współpracować mamy. — Wielu widziałeś w Zgromadzeniu, którzy dla tego, że nie tak Zgromadzenie ukochali, nie wytrwali w niem. Tyś został, aby nas przykładem uczyć prawdziwej miłości powołania, i bodajbyś nas życiem swoim uczył jeszcze jak najdłużej.

„Niebezpieczeństwo wielkie w powołaniu naszym jest w tem, że abyśmy misję swoją pełnić mogli, ciągle musimy wychodzić między ludzi, gdzie tak łatwo ześwietczeć można. Jesteśmy *ex clero saeculari*, abyśmy potrzeby i niebezpieczeństwa tych, dla których pracować mamy, lepiej znali i aby nam było łatwiej kroczyć naprzód w należytych postępie; jak Kartuzi jednak mamy umieć żyć, tak nam mówi św. Wincenty, abyśmy w postępie i w tych niebezpieczeństwach nie zginęli. Dobry Misyonarz to kapłan świecki, ale nie ześwietczony, z Kartuzem złączony w jedno. Umiejętności tego tak trudnego połączenia uczyłeś nas przykładem i mówiłeś, że do tego potrzebne usposobienie, które wiedzę kocha i od ludzi nie ucieka, ale w którym jest ciągle ta sama siła dośrodkowa, która go między swoich

współbraci ciągnie, w zwyczajach, praktykach i ćwiczeniach Zgromadzenia kochać się każe i za pracą ściśle misyonarską przedewszystkiem odczuwa tęsknotę. Za tego ducha misyonarskiego i przykład, jak go utrzymać w sobie, przyjmij od od nas wyrazy najgłębszej wdzięczności.

„I jeszcze za jedno podziękować Ci w imieniu tej naszej prowincyi winienem — bo tak mi nakazuje to uczucie wdzięczności, któreś w sercach naszych rozbudził. Misyonarz każdy to syn i uczeń tego Świętego, po którego konferencyach mówili sobie słuchacze: *Nonne cor nostrum ardens erat, dum loqueretur?* — i który, aby bliźniego ratować, sam siebie oddał w niewolę, a wśród gorączki i trudu misyjnego, życie swe skończyć pragnął. Święty Wincenty to jak Boski Mistrz ogień przyszedł miotać, a rozpałić nim chciał przedewszystkiem serca swoich synów. To też, jak owe Cherubiny u Ezechiela, *ubi erat impetus spiritus illuc gradiebantur, nec revertebantur, cum ambularent* (Ezech. I., 12), tak duchem i ogniem Bożym naglony Misyonarz, nie ma się nigdy cofać przed ofiarą i poświęcenia.

„Ten zapał i gorączkę ognia wniosłeś, Czcigodny Jubilacie, w życie i działalność Misyonarzy w tej prowincyi i przyzwyczałeś nas myśleć i pamiętać o tem, że Misyonarz bez zapału i ognia poświęcenia, to nie jest nasz ideał, ale to raczej nasz ból. I za to składamy Ci dzisiaj podziękowanie, zapewniając, że te uczucia wdzięczności, jakie w sercach naszych rozbudziłeś ogniem swej duszy, nie zgasną w nich nigdy.

„Nie tylko jesteś, Czcigodny Jubilacie, tym, *qui laborat inter nos, et qui monet nos*, ale jesteś z tych, *qui praesunt nobis*. Przywykliśmy od samego początku i od młodości naszej widzieć w Tobie naszego przełożonego, bo w rozmaitym charakterze i różny sposób, ale prawie zawsze byłeś przełożonym naszym. A więc *praeter illa*, to jest *praeter labores, aerumnas, vigiliis*, w jakie tak bogate jest Twoje życie kapłańskie, masz zasługę względem Zgromadzenia,

którą Apostoła określa: *sollicitudo omnium ecclesiarum*. Wszystkich więc nas w stosunku do Ciebie dotyczy wezwanie Apostoła: *Rogamus vos, fratres, ut habeatis illos abundantius in caritate*. Równie jednak silnie, jak wezwanie Apostoła, przynagla nas do tego Twoja miłość. Bóg dał Ci, Czcigodny Jubilacie, wielkie serce, ale zarazem dał temu sercu przymiot, który nie każde wielkie, a nawet gorące serce posiada, to jest umiejętność okazania się na zewnątrz. W ten przymiot serce Twoje zdobne podbiło nas tak, że dawno już jesteś i zawsze u nas zostaniesz *abundantius in caritate*.

„To potrójne uczucie serc naszych nie tylko się dzisiaj pokazać i wypowiedzieć Tobie pragnęło, ale każde z nich ma swoje życzenia względem Ciebie, Czcigodny Jubilacie. Uczucie naszej serdecznej, gorącej miłości pragnie Cię mieć jak najdłużej w naszym gronie i to takim, jakim Cię ono widzieć chce, to jest opromienionego szczęściem i pokojem. Daj Ci Boże, Czcigodny Jubilacie, abys żył tak długo, iżbys podobny do onego starca, którego św. Jan widział w objawieniu, oglądać mógł w tej prowincyi nieprzeliczone grono Misyonarzy, o którychbys słyszał, iż *serviunt Deo die ac nocte*, a miłość jaką Cię zawsze otaczać to grono będzie, aby Ci o nich mówiła, iż to jest to *centuplum*, które obiecał P. Jezus tym, którzy opuszczą siostry i braci, aby pójść za Nim. Anioł Stróż, gdy zapytywać się będziesz: *Hi qui sunt et unde venerunt?* niech Ci o nich szeptem, że to owoc Twych trudów, to ducha Twego dziedzice, nad którymi z pociechą w długie, bardzo długie lata jako patriarchy ich ręce swe wyciągając masz prawo powtarzać: *gaudium meum et corona mea*.

„Nasza niezatarta dla Ciebie wdzięczność pragnęła się ujawnić na zewnątrz, tak jak to uczucie ujawniać się przywykło, to jest w darach; stąd te skromne dary, które Ci składamy. Na kielichu, który ma być wyrazem naszej wdzięczności wyryte są obrazy dwunastu apostołów, bo chcemy, aby Ci ten dar zawsze przypominał to, co w tym czasie w brewiarzu o Apostołach powtarzamy, a co się i do naśladowców ich odnosi: *Fulgebunt iusti sicut sol in conspectu Dei*,

i że my się zobowiązujemy modlić się, aby Twoja aureola apostołska w słońcu chwały wiecznej jaśniała jak najwięcej. Wzajem również prosimy, abyś w ofierze Mszy św. modlił się, by ogień ducha apostołskiego coraz bardziej rozpałał serca wszystkich nas młodszych Misyjonarzy.

„Uczucie też czci najgłębszej, jaką dla Ciebie mamy, każe nam skłonić przed Tobą głowy nasze i prosić Cię, Czcigodny Jubilate, abyś nam w tejże myśli błogosławił“.

Kiedy skończył Przew. ks. Wizytator, powstał Najczcig. O. Jubilat i odpowiedział w słowach krótkich, lecz nadzwyczaj podniosłych. Mówił z głębi duszy i z ogniem starca, co przecież w niczem nie ustępuje najżywszym zapałom młodzieńca. Starszym znany jest sposób jego mówienia. Wiadomo, jak trudno ująć we własną formę tę obfitość myśli, pędzącej ze serca jak potok. Odmalował pokrótce opatrnościowy rozwój prowincyi z chudego ziarenka. Dziękował Bogu za błogosławieństwa, jakie spoczęły na jej pracach. Zapalał wszystkich do dalszej pracy, z tąsamą wytrwałością i z taką ufnością w Bogu, i położył nacisk na zobopólną miłość i zjednoczenie serc, bo w tem siła niezłamana. Oświadczył nakoniec, że, acz stary, gotów jest na wszelką pracę, do jakiej jeszcze będzie zdolny, prosząc, żeby i nadal nie zapominać o nim w modlitwach.

Następnie odczytano telegram z błogosławieństwem od Ojca św., a chór kleryków odśpiewał na zakończenie hymn ku czci św. Wincentego: *Virum misericordiae*.

W tym samym dniu pod wieczór składali swe życzenie Najczcig. ks. Jubilatowi wychowankowie Małego Seminarjum w Nowej wsi Narodowej. Z tej okazji odegrali ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich gości bardzo udatnie dramacik p. t. „Karara“.

Nazajutrz, 30 kwietnia, uroczystość Przeniesienia Relikwii św. Wincentego, obrana na główną część obchodu jubileuszowego.

Krótko po godzinie 9 zjechał na Kleparz Najprzew. Ks. Biskup Nowak, by wziąć udział w uroczystości. Po krót-

kiej modlitwie w kościele przywdział szaty pontyfikalne i poszedł w uroczystej procesji po Jubilata, który już czekał w rozmownicy, ubrany w złocisty ornat, sprawiony przez SS. Miłosierdzia. Z pieśnią „Wesoły nam dziś dzień nastał“ na ustach, ruszył pochód do kościoła.

Przed sumą odprawił Ks. Biskup wszystkie w rytuale przepisane ceremonie wstępne. Dał też uczuciom niewygasłej nigdy wdzięczności i miłości swej niezwykle podniosły wyraz w słowach następujących:

„Stanałeś, Ojcie Drogi, u stopni ołtarza, by chwałę śpiewać Bogu, żeby za łaski podziękować, w ciągu pięćdziesięciu lat Twego kapłaństwa na Ciebie zlane, i prosić o łaskę, byś mógł nadal być wiernym sługą Pana, byś dzieło Kościoła świętego, uświęcenie owczarni Dobrego Pasterza, mógł dalej z dotychczasową gorliwością wykonywać. Dziękujesz Bogu, że słudze Swojemu pozwolił doczekać tej miłosciwej chwili, którą zdobiją przepiękne wspomnienia, od pierwszej Mszy świętej począwszy, aż do dnia dzisiejszego. Z głębi serca, Czcigodny Jubilacie, dziękujesz za tę łaskę pięćdziesięciu lat kapłaństwa. Przepędziłeś je na wiernej służbie Jezusowej. Idąc za głosem Bożym, poświęciłeś się służbie ołtarza, zostałeś kapłanem. To nie wystarczało Panu Jezusowi, to nie wystarczało zamiarom Boskiej Opatrzności — Pan Jezus wołał Cię do doskonalszego życia. Idąc za Jego głosem wstąpiłeś do Zgromadzenia Księży Misyjonarzy, by za łaskę powołania kapłańskiego odwdzińczyć się poświęceniem, w duchu św. Wincentego, niczego nie szukając krom chwały Bożej, zbawienia własnej duszy i zbawienia dusz, Krwią Najdroższą Jezusa Chrystusa odkupionych. Jak Bogu służyłeś wiernie, jak całym sercem to boskie kapłaństwo umiłowałeś, z jaką wiernością, siłą, stanowczością spełniałeś święte posłannictwo, daje Ci świadectwo własne sumienie.

„Wyrządziłbym Ci, Ojcie Drogi, przykrość, gdybym głosił Twe czyny, Tobie, coś nadewszystko ukochał cnotę skromności i pokory, któryś usunął się od chwały tego świata, na której fali tak wielu rozkosznie się kołysa, z na-

rażeniem cnoty. Ty życiem powtarzasz za świętym Zakonodawcą, którego uroczystość Przeniesienia Relikwii dziś obchodzimy, powtarzasz: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam.*

„Drogi Ojcze, 27 lat temu, jak pełen sił i świeżości, z woli przełożonych i z woli ś. p. Kard. Dunajewskiego, objąłeś ciężkie obowiązki Ojca duchownego w tutejszem seminaryum dyecezyalnym. Byłem wtenczas na IV. roku, u wyjścia z seminaryum. O Drogi Ojcze, ile Ci zawdzięczam, to Bogu najlepiej wiadomo. Ty przyszedłeś do nas z tym zapalem, który porywa do Boga. Ty nie pragnąłeś niczego, tylko by nas przygotować do naszego szczytnego posłannictwa, by w nas wyrobić tego ducha Chrystusowego, który niczego nie szuka prócz zbawienia siebie i owczarni Bożej. Niech Ci Pan Jezus za to zapłaci. Tam w niebie ś. p. Arcypasterz cieszy się zapewne Twą uroczystością.

„Przyjmij, Ojcze Drogi, głęboki wyraz czci i podziękowania za to, coś dla dyecezyi św. Stanisława zrobił. Nasz Arcypasterz, niemocą złożony, nie może przyjść na Twą uroczystość, ale dziś z wdzięcznością przypomina sobie te chwile, kiedy przebiegałeś wraz z nim jako towarzysz całą archidyecezyę lwowską, i to, coś dla tutejszej dyecezyi zrobił. Nie tylko w jego imieniu hołd wdzięczności Ci dziś składam, ale *ex praesumpta delegatione* w imieniu wszystkich dyecezyj galicyjskich, nawet Polski całej, dokąd tylko wpływ Twój sięgnął, ale szczególnie w imieniu tych wszystkich, których przygotowywałeś do zawodu kapłańskiego, i tych, którym kiedykolwiek pomocą byłeś. Oni łączą się dziś z nami w modlitwach za Ciebie, by Bóg zlał na Ciebie jak najobfitsze łaski, byś długo jeszcze, życiem zdrowem się ciesząc, był nam przykładem i wzorem kapłana Chrystusowego i jeszcze jak najwięcej mógł działać dla owczarni Chrystusowej. Kończę Twą dewizą życiową: Niech Chrystus będzie czczony! Amen“.

Potem ks. Biskup, złożwszy szaty pontyfikalne, zajął miejsce na tronie. Ks. Jubilat zaś rozpoczął w asystencyi

Księży Konfratrów uroczystą sumę, wśród której chór kleryków odśpiewał przepięknie mszę na głosy, gustownie zebraną z kilku trudniejszych utworów w tym rodzaju, oraz kilka hymnów, a kazanie (które umieścimy w następnym numerze) wygłosił ks. kanonik Ślepicki, dawny wychowanek Jubilata.

Po nabożeństwie udzielał Najczcig. Ks. Jubilat błogosławieństwa. Przystąpił najpierw sam Ks. Biskup, za nim obecni na Mszy św. dostojnicy kościelni, jak ks. infułat Krzemieński, ks. prałat Wądolny, ks. kanonik Ślepicki, i inni przedstawiciele duchowieństwa świeckiego; następnie wszyscy Konfratry, wreszcie S. S. Miłosierdzia i licznie zebrani wierni.

Nazajutrz, 1 maja, było rano u S. S. Miłosierdzia na Kleparzu uroczyste nabożeństwo jubileuszowe. Siostry, wszystkie z Domu Centralnego, przedstawicielki domów krakowskich oraz kilka z prowincyi, witały Najczcig. O. Jubilata a dawnego swego Dyrektora, serdecznie i z wdzięcznością. Od furty ciągnął się długi szpaler odświętnie ubranych wychowanek Zakładu św. Stanisława, zasypujących ks. Jubilatowi drogę kwiatkami. W przepysznie udekorowanym kościele, wśród poważnych śpiewów, odprawił ks. Jubilat uroczystą Mszę św., w otoczeniu i asystencyi kilkunastu księży oraz wszystkich naszych dyakonów. Po sumie udzielał zgromadzonym błogosławieństwa. Następnie zaś składały mu Siostry powinszowanie w izbie Zgromadzenia.

Tegoż dnia odbyło się uroczyste zakończenie tego tryduum jubileuszowego w postaci poranku, urządzonego na Stradomiu przez kleryków Zgromadzenia. Oprócz Konfratrów przybył Najprzew. Ks. Biskup Nowak, księża infułaci Gawroński i Krzemieński, ks. kanonik Ślepicki, ks. Drohojowski oraz kilku innych zacnych gości. W gustownie przystrojonem oratoryum — w czem zwłaszcza uderzały transparenty w oknach, przedstawiające symbolicznie wiarę, nadzieję i miłość — wykonała młodzież nasza duchowna, z całym zapałem młodocianych serc, a z wielką pewnością i precyzją, szereg utworów muzycznych i wokalnych. W imieniu całej młodzieży

przemówił ks. St. Piasecki, podówczas jeszcze dyakon, do Najczcig. ks. Jubilat w słowach, tchnących czułą miłością synowską, zapałem i życiem, nie bez poetycznego uniesienia. Ks. Jubilat podziękował w kilku gorących słowach, a robiąc aluzję do życzenia „długiego życia“, zachęcał gorąco do pracy nad obudzeniem w sobie jak najwięcej życia i zapału Bożego, bo Misyonarz, bo kapłan każdy ma to życie potem budzić w sobie i w drugich. A jaką to będzie, dodał, pociechą dla każdego pracownika, gdy po wiekach stając na sądzie, zobaczy po prawej ręce Sędziego tyle życia, w którym niemało i jego tkwi zasługi.

Nazajutrz wyjechał Najczcig. ks. Jubilat do Poznania i Chełmna na rekolekcyje tamtejszych S. S. Miłosierdzia, oraz by i tam święcić swój jubileusz i udzielać błogosławieństwa.

W Chełmnie. Uroczystości pięćdziesięcioletniego jubileuszu Najczcig. ks. Kiedrowskiego miały podniosłe zakończenie dnia 25 maja w Chełmnie, gdzie zebrały się natenczas z powodu rekolekcyj Przełożone wszystkich niemal domów prowincyi chełmińskiej, to jest ze Ślązka pruskiego, z Poznańskiego oraz z Prus Zachodnich i Wschodnich.

W wigilię uroczystości, 24 maja po południu, zebrały się Siostry, z Przew. S. Wizytatorką Giersberg na czele, w gustownie przystrojonej sali rekolekcyjnej. Rozległy się tony pieśni, ułożonej przez jedną z Sióstr. A czego nie wyśpiewały, dopowiedziały przemową. Obecny ks. Subregens i Ojciec duchowny seminaryum w Pelplinie, a dawny długoletni kapelan Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie, ks. Konstanty Dominik wypowiedział w imieniu Ks. Biskupa Rosentretera ks. Jubilatowi słowa podziękki za jego tak owocną działalność w dyecezyi chełmińskiej.

Po odśpiewaniu stosownej pieśni i po deklamacyach złożyła S. Wizytatorka w imieniu prowincyi dary jubileuszowe jak złociste aparaty kościelne, wraz z innymi przyborami mszalnymi oraz wspaniałe album domów prowincyi, w której ks. Jubilat od tylu lat pracował jako dyrektor. — Dawni

księży kapelani, ks. Dąbrowski i ks. Dominik ofiarowali gustowny kielich.

Główna uroczystość odbyła się 25 maja, w święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Czcigodnego ks. Jubilata wprowadzono w procesyi do kościoła. Potem w otoczeniu 5 księży rozpoczął on uroczystą sumę w przepełnionej Siostrami i Dziećmi Maryi kaplicy.

Przed sumą jeszcze odprawił jubileuszowe ceremonie wstępne miejscowy proboszcz, ks. dziekan i kanonik Pobłocki, a potem przemówił od ołtarza, w serdecznych słowach skreślając pokrótce życie i prace apostołskie Jubilata, których znaczna część przypada na Chełmno. Zaznaczył ciąg pracy misyonarskiej w Chełmnie, gdyż tam dotąd przybyli Misyonarze niedługo po śmierci św. Wincentego i rozwinęli swą misyonarską działalność wszechstronnie, pracując we farze chełmińskiej przez półtora wieku. Praca tych pierwszych Misyonarzy była ciężka, gdyż kraj był spustoszony licznymi nieszczęsnymi wojnami, a ludność zdziczała. Dzięki ich pracy odnowiono i kościół i dusze parafian się uświęciły. Po wygnaniu Księża Misyonarzy z Chełmna przez rząd pruski, w pierwszych dziesiątkach wieku XIX., utrzymywały przez następne czasy Siostry Miłosierdzia nieć pracy w duchu św. Wincentego, którego w nich rozżarzali Księża Misyonarze jako ich dyrektorowie, a między nimi niemałą w tem zasługę ma Dostojny ks. Jubilat. Owocem tych prac gorliwych dzieci św. Wincentego karmi się po dziś dzień dyecezya, a zwłaszcza parafia chełmińska.

Błogosławieństwem wszystkich obecnych zakończyła się ta rzewna uroczystość kościelna, zostawiając po sobie niezatarte wrażenie w sercach wszystkich.

Ameryka północna.

Filadelfia. Piszą stamtąd: „Szkoła nasza dobrze się rozwija (uczą S. S. Nazaretanki) dzieci już przeszło 140

i co chwilę nowe przybywają. Od wakacyi będą już 4 klasy regularne“.

„Misye mieliśmy w tym roku już 2, a mianowicie: dziesięciodniowa misya w Trenton, i 5-cio dniowa w Baltimore u Franciszkanów. Nadto będziemy mieli misye: 10-cio dniową u ks. Grzywacza w Mc. Adao (czyt. Makadu), tygodniową u ks. Morysa i dwutygodniową u ks. Klugera koło Providence w Center Falls. W jesieni zaś mamy zamówioną misyę dwutygodniową w Baltimore, w drugiej parafii OO. Franciszkanów“.

„Mamy także odprawić wszystkie 6 seryi rekolekcyi dla S. S. Nazaretanek“.

„Praca parafialna idzie zwyczajnym trybem, tylko że spowiedzi mamy coraz więcej i Komunii św. codziennych przybywa. Obecnie przygotowujemy dzieci do I. Komunii św.“

Pracę misyjną podejmują Konfratrzy siłami wspólnemi ze wszystkich domów.

Erie, Pa. Sprawa kolegium polskiego, które Zgromadzenie tamże postanowiło otworzyć, postępuje pomyślnie. Gmach na kolegium wznosi się już coraz wyżej, a ks. Janowski niestrudzenie kolektuje, aby gromadzić fundusze, których trzeba zbierać wiele, gdyż sam kosztorys budynku wynosi 125.000 dolarów. Dnia 30 maja odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego, otwarcie zaś Kolegium ma nastąpić w jesieni przyszłego roku.

Kilka dni przedtem pisał o Kolegium tygodnik miasta Erie, *The Erie Sunday Herald* z dnia 21 maja, w te mniej więcej słowa:

„O pięć mil angielskich (około 9 klm.) od naszego miasta, a o milę na południe od miejscowości Wesleyville, buduje się zakład, który, jak się spodziewamy, postawi miasto Erie w szeregu ognisk oświatę szerzących. Jest to Kolegium św. Jana Kantego. Stalowa konstrukcyja już niemal wykonana, a mur przygotowano do poświęcenia kamienia węgielnego. Ceremonii tej dokona ks. biskup Fitzmaurice,

w otoczeniu licznego zastępu duchownych, w pamiątkowym dniu 30 maja, o godzinie 3 popołudniu.

„Kolegium to, budujące się pod opieką osobnego Komitetu czyli Towarzystwa św. Jana Kantego, zawdzięcza swój początek wytężonym staraniom i zabiegom Polaków, a uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego będzie wypadkiem żywo obchodzającym obywateli tej narodowości w mieście Erie, choć coprawda całe miasto ocenia znaczenie i dobroczynny wpływ takiego zakładu.

„Myśl tej fundacyi powziął ks. Andrzej Ignasiak, proboszcz przy kościele św. Stanisława w Erie. Jego to usiłowaniam należy przypisać po większej części, że sprawa tak daleko się posunęła. Jako prezes Komitetu zwłaszcza przyczynił się znakomicie do zapewnienia potrzebnych funduszków, a czas, uwagę i siły swe poświęcił wykonaniu wszystkich szczegółów planu budowy.

„Komitet budowy założył ks. Ignasiak, kiedy się przekonał, że zamiar jego da się zwolna urzeczywistnić. I odtąd przemyślał nad zebraniem potrzebnych środków. A oprócz osobistej pracy i starań przyczynił się sam materialnie do tego; nabył i ofiarował komitetowi budowy plac na którym wznosi się kolegium. Grunt cały wynosi 75 akrów, w dwóch nierównych częściach (60 i 15 akrów) po dwu stronach drogi Mill road. Większa, północna część znana była jako farma p. Petrie, południowa jako farma p. Furman'a. Oprócz tego ma jeszcze Komitet posiadłość we wschodniej części miasta, w dzielnicy Adams, obejmującą 144 lotów (parcel budowlanych). Realność tę mają sprzedać; spodziewają się za nią 40.000 dolarów. Jest to zawiązek funduszu, z którego przy hojności wspaniałomyślnych ofiarodawców będzie przyszłość Kolegium zapewniona.

„Położenie przyszłego Kolegium św. Jana Kantego jest wprost idealne. Wznosi się na wzgórzu, a stąd roztacza się szeroki widok na jezioro oraz na część miasta Erie.

„Akt urzędowy, którym władze w Erie zezwoliły na otwarcie Kolegium, zapowiada, że ma ono obejmować teo-

logię, humaniora i nauki ścisłe. Zapisywać się będzie mogła młodzież katolicka wszelkich narodowości.

„Wychowanie młodzieży, której w gmachu obecnie się budującym pomieści się około 180, powierzone będzie Zgromadzeniu Księży Misyjonarzy, znanemu szeroko z działalności nauczycielskiej i misyjnej. Prowadzą ci księża już Kolegia w Filadelfii, Baltimore i w innych miastach, pod ich więc kierownictwem jest pomyślny rozwój kolegium św. Jana Kantego zapewniony. Zanim zaś zarząd ten obejmą, sprawa całego Kolegium spoczywa w ręku Komitetu budowy ¹⁾).

„Jest uzasadniona nadzieja, że Kolegium będzie mogło w krótkim czasie stać o własnych siłach, tymczasem zaś liczyć musi koniecznie na wspaniałomyślność i hojność swych przyjaciół.

„Na posiedzeniu Komitetu z przeszłego piątku (19 maja), na którym omawiano uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, ułożono i uchwalono rozesłać odezwę, w której skreślono cały program budującego się Zakładu i wykazano konieczność wspaniałomyślnej ofiarności na rzecz jego.

.....
„Budową całą kieruje p. Paweł Ryś.

„Budynek będzie dwupiętrowy, a zajmować będzie przestrzeń 180 stóp długości, a 106 szerokości. Stawiany będzie z ciemnej, szklistej cegły. Struktura będzie stalowa. W środku gmachu frontowego wznosić się będzie wieża średniej wysokości.

„Gmach zwrócony frontem do drogi Millwad, około 300 łokci ang. (274·32 m.). Główny gmach leży równolegle do drogi, a dwa prostopadle.

„Wejścia będą cztery, z frontu, z obydwu boków i z tyłu. Parter i pierwsze piętro przerzynają dwa korytarze w krzyż. Na parterze są dwie wielkie sale do studyum (każda po 45×32 stóp) w zachodniem skrzydle, we wschodniem

¹⁾ Po ukończeniu przejdzie kolegium na własność Zgromadzenia prowincyi polskiej (p. R.).

skrzydle kancelarya i 4 mieszkania dla profesorów. We frontowej części gmachu będzie 6 klas (24×25 stóp) i obszerna biblioteka (48×25 stóp). Na pierwszym piętrze rozkład podobny jak na parterze, z tą różnicą, że klasy położone są po dwu stronach kurytarza przeryniającego gmach od południa ku północy, 4 po lewej stronie, 2 po prawej. W głównym gmachu w środku od strony południowej będzie wielka sala jadalna. We wschodnim skrzydle będzie 8 pokoi dla profesorów, a w zachodnim 2 obszerne sale sypialne. Na drugim piętrze mieścić się będzie w części frontowej od południa kaplica, od północy dwie małe sale, z nie określonym jeszcze przeznaczeniem. Resztę tego piętra zajmą 4 wielkie sypialnie, łazienki i mieszkania profesorów.

„Wykonanie całego planu pochłonie 125.000 dolarów. Pominięto przytem wszelkie niepotrzebne dodatki, by nie zwiększać kosztów.

„Zakład ma mieć centralne ogrzewanie i oświetlenie elektryczne. Kocioł parowy i motor elektryczny staną po tylnej stronie gmachu. Przed Zakładem i po wschodniej jego stronie będzie obszerny park. Będzie także boisko, plac do gry w piłkę nożną, miejsce do zapasów, ażeby się studenci mogli zabawiać wspólnie.

„Ostatecznego wykończenia kolegium spodziewać się należy w lecie roku przyszłego. Dla studentów zaś otwarte będzie z wrześniem 1912 r.

„Żeby ułatwić zgromadzenie potrzebnych na budowę funduszków, postanowił Komitet budowy w sierpniu zeszłego roku wypuścić listy zastawne w wartości 100.000 dolarów. Bank zaś „The Erie Trust Company“ wziął na siebie gwarancję tych papierów, z których niektóre już zrealizowano, inne zaś czekają na to. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży tych papierów mają stanowić fundusz na budowę i utrzymanie Kolegium“.

Dodać należy, że komitet budowy utworzyć musiano z powodu tego, że inaczej nie można w Ameryce uzyskać pozwolenia na żadne podobne przedsięwzięcie. W skład Ko-

mitetu wchodzi obok innych wszyscy nasi Konfratrzy w północnej Ameryce, a Wydział stanowią: ks. Ignasiak, jako prezes, ks. Głogowski jako wiceprezes, burmistrz miasta Erie p. M. Liebel jako drugi wiceprezes, p. F. D. Schultz, właściciel fabryki, jako skarbnik i adwokat p. Nagórski jako sekretarz.

Ks. Janowski zaś jest niestrudzonym w zbieraniu składek po całej Pensylwanii i sąsiednich stanach, w czem mu P. Bóg bardzo błogosławi.

Polecamy tę sprawę Kolegium modlitwom obydwóch Rodzin św. Wincentego i przyjaciołom naszym.

Derby. Kościół w Derby obecnie po pięknym wymalowaniu jest najpiękniejszym polskim kościołem w dyecezyi Hartford. Między pięknymi obrazami, jakimi malarz przyozdobił ściany, widnieje i duży obraz, scena Objawienia Cudownego Medalika. Pracy tam również coraz więcej, ludzie coraz liczniej garną się do spowiedzi i częstej Komunii św.

New Haven. Dotychczasowy kościół okazał się już za ciasny dla tamtejszych Polaków. Konfratrzy kupili plac pod nowy kościół z budynkami, z których jeden służyć będzie za mieszkanie dla nich, a w drugim zamieszkały już od 1 lutego S. S. Nazaretanki, prowadzące tamtejszą szkołę polską. Niebawem przystąpią Konfratrzy do budowy nowego kościoła i szkoły.



Ś. p. ks. Adam Więcek.

Dnia 27 sierpnia 1910 roku zasnął w Panu po krótkich cierpieniach ks. Adam Więcek, od kilkunastu lat zamieszkały w Nowej wsi Narodowej. Z jego śmiercią zstąpił do grobu znowu jeden z tych już kilku tylko, co patrzeli na początkowy rozwój prowincyi krakowskiej i w jej pomyślnych dziejach mniejszy lub większy brali udział. Jego w szczególności za-
biegom i staraniom zawdzięczamy zachowanie całej własności Stradomskiej, przez co położył w prowincyi największą za-
sługę i postawił sobie pomnik do niewygastej wdzięczności.

Zmarły pochodził z Górnego Ślązka pruskiego; urodził się w r. 1845. Ukończywszy gimnazyum w Gliwicach, odbył pieszo pielgrzymkę do Rzymu i pozostał tamże z zamiarem poświęcenia się stanowi duchownemu. W domu rekolekcyjnym Ks Ks. Misyonarzy na Montecitorio obudziło się w duszy młodego studenta powołanie do Zgromadzenia. Uzyskawszy przyjęcie w r. 1864, podążył znowu pieszo do Macierzystego Domu w Paryżu, gdzie go serdecznie powitał i odtąd szczególniejszymi względami otaczał O. Generał Etienne.

Ukończywszy studia teologiczne, otrzymał święcenia kapłańskie. Wtedy to O. Generał Etienne, tak dbały ciągle o rozwój odradzającej się polskiej prowincyi, a więc przede wszystkim o coraz większy zastęp pracowników ewangelicznych, wysłał ks. Więcka do Krakowa. Przybył na Kleparz 10 grudnia 1870 i objął zaraz urząd prokuratora domu i prowincyi. W marcu 1874 przeniósł się na Stradom, gdzie jako

długoletni prokurator dobrocią i łagodnością jednał sobie serca wszystkich, zwłaszcza alumnów seminaryum biskupiego, którzy wtenczas pod kierunkiem naszych Konfratrów wychowywali się na przyszłych duszpasterzy.

Ośmnaście lat pracował na tem stanowisku, drugie tyle spędził w nowo powstałym domu Zgromadzenia w Nowej wsi Narodowej, gdzie też dokończył swego życia.

Jako wielki domator nie przedsiębrał od przyjazdu do Krakowa dalszych podróży, wyjąwszy dwukrotny pobyt we Lwowie. Charakteru był nieugiętego, nieraz aż do uporu, temperamentu ognistego, czasem nawet gwałtownego, serce zaś miał nadzwyczaj czułe i dobre. Stąd to zrodziła się w nim ta dziwna przedsiębiorczość. Był też z tego powodu miły i lubiany powszechnie przedewszystkiem u swoich, zwłaszcza wśród młodzieży. Sam nawzajem żywił wielką miłość dla Konfratrów, szczególnie młodszych, wśród których przeżył ostatnie swe lata. Rysem znamionym tej miłości bliźniego było u ś. p. ks. Adama to, że nigdy o nikim źle nie mówił; a gdy zdarzyło się, że ktoś niedobrze się wyrażał o drugich, a zwłaszcza obmawiał się zdawał kogoś, nawet jemu nieprzychylnego, zawsze stawał w jego obronie.

Budował wszystkich, swoich czy obcych, szczególniejszym duchem kapłańskim i miłością dla ubogich. — Duch kapłański jaśniał w gorącości duszy, z jaką sprawował Najśw. Ofiarę czy administrował Sakramenta św. lub odmawiał pacierze kapłańskie. Przepisów liturgicznych przestrzegał z budującą skrupulatnością, nieraz aż do przesady; a umiał to zamiłowanie w ceremoniach wpajać i w drugich, zwłaszcza kiedy jeszcze na Stradomiu zaprawiał alumnów dyecezyjalnego seminaryum do funkcyj kościelnych. — Rwał się także z zapalem na ambonę — brak tylko wyraźnej mowy stanowił w tem nieprzepartą zaporę, ku wielkiemu jego udręczeniu. Lubił także katechizować dzieci. Za pobytu w domu kleparskim był nawet katechetą w zakładach Sióstr Miłosierdzia. Długimi też nieraz godzinami przesiadywał w konfesyonale.

Oznaką tego ducha Bożego była nadto u niego gorąca, dziecięca miłość dla Najśw. Maryi Panny.

Najwięcej wszakże, zdaje się, jaśniała w ś. p. ks. Więcku miłość dla ubogich wszelkiego rodzaju. O ile w przedsiębiorstwach swoich finansowych czy gospodarczych, zwłaszcza pod koniec życia, miał nieszczęśliwą rękę, o tyle niewyczerpanym i zręcznym był w pomysłach na rzecz biednych.

Miłosiernym był przez całe życie. Właściwa jednak praca dobroczynna ś. p. Zmarłego rozpoczęła się dopiero w Nowej wsi Narodowej, gdzie osiadł na stałe w roku 1892.

Już wtenczas gminy podmiejskie obecnego Wielkiego Krakowa zaczęły się zaludniać najbiedniejszymi wyrobnikami miasta, którzy nie mogąc opłacić czynszu w okazałych kamienicach miasta, chronili się na przedmieścia. Równocześnie zaczął się krzewić socjalizm między nimi, który wobec braku kościołów parafialnych wnet wyrodził się w jaskrawą niewiarę, zuchwalstwo i do nędzy materialnej dodał jeszcze gorszą nędzę duchowną.

Te nieszczęścia społeczne wielkich miast dostrzegł ś. p. ks. Adam Więcek. Za jego staraniem i pomocą Rady wyższej przychodzi już w grudniu 1892 do założenia konferencji św. Szczepana w domu Ks. Ks. Misyonarzy. Pod przewodnictwem ś. p. Pawła Popiela, a przy czynnej i ruchliwej pomocy ks. Więcka konferencja ta do roku 1910 wydała na biednych 19.153 koron. W ostatnich zwłaszcza latach, gdy dotknięty ciężką chorobą prezes konferencją zajmować się nie mógł, cały ciężar pracy spadł na zastępcę prezesa, ks. Więcka. Mimo stosunkowo małej liczby braci, ś. p. Zmarły do ostatniej chwili prowadził pracę konferencji, zbierając fundusze i środki dla biednych Łobzowa, Czarnej Wsi i Nowej wsi Narodowej, niezrażony niewdzięcznością ubogich ani wyzwiskami rozzuchwalonej młodzieży socjalistycznej i podrostków, którzy odwiedzającemu ubogich kapłanowi nie szczędzili wprost obelg i przykrości.

Widząc zdziczenie i nieświadomość religijną młodzieży, zaraz z początku zabrał się do katechizowania dzieci, zrazu

w domku, a potem w kościele Ks. Ks. Misyonarzy, który ku jego wielkiej radości stanął tu w roku 1894. Jego staraniom trzeba też przypisać sprowadzenie Sióstr Miłosierdzia do Nowej wsi Narodowej i ustanowienie tamże ochronki dla biednej dziatwy.

Wylany dla ubogich, wspierał ich wszelkimi sposobami, wyszukując im to pracę, to wstawiając się za nimi dzięki swym licznym stosunkom. Za jego staraniem rozparcelowano zagon wzdłuż drogi pomiędzy robotników, gdzie dziś wznoszą się ich schludne domki nad ulicą imienia ks. Więcka. Dla zachęty rozdawał między robotników drzewka owocowe i sadzonki, by niemi ozdabiali domy i ogrody. Gdy mu zabrakło środków, to w razie wielkiej nędzy płakał z biednym, gdy mu nie mógł dopomóc, lub usprawiedliwiał się przed nim, nigdy go szorstko nie odprawiając, a jeżeli biedny dodał, że był na mszy św. lub zmówił koronkę, to mógł być pewnym obfitszej jałmużny.

Zamyślał wystawić schronisko dla biednych i salę odczytową dla ludności podmiejskiej, by przeciwdziałać wpływowi socjalizmu, lecz tego dzieła już nie dokończył; tknięty paraliżem, umarł po krótkich cierpieniach w sobotę, dnia 27 sierpnia 1910, w dniu poświęconym czci N. Maryi Panny, do której szczególniejszem się odznaczał nabożeństwem.

Jak za życia uczęszczał na pogrzeby członków konferencji i biednym swym zawsze oddawał tę ostatnią posługę, tak i na jego pogrzeb wyległy masy biednych i ubogich, świadcząc najlepiej, że stracili w nim swego opiekuna, doradcę i dobroczyńcę.

Ś. p. Siostra Stefania Lewandowska.

Dnia 26 grudnia 1910 zasnęła w Panu w domu Centralnym S. S. Miłosierdzia na Kleparzu S. Stefania Lewandowska. Nie długiem było jej życie w Zgromadzeniu, bo trwało zaledwie 9 lat, ale ożywiona nieustanną gorliwością

i czystą intencją niezawodnie zdobyła sobie wiele zasług. We wszystkich domach, gdzie była umieszczoną, zostawiła po sobie wspomnienie, że była to gorąca dusza, mająca jedynie na celu podobanie się Bogu i sumienne wypełnienie swojego obowiązku. Wstąpiwszy do Zgromadzenia, aby służyć chorym i rozumiejąc dobrze wzniosłość powołania Siostry Miłosierdzia, bo dała tego najlepszy dowód, gdy wprost do chorych użyta została, S. Lewandowska jednakże z wielką także gorliwością, jak mówią uwagi o niej podane, wypełniała zajęcie przy gospodarstwie, bo ożywiona była duchem wiary. — Oddawała mu się z zapałem i skupieniem zarazem, a była zawsze niestrudzoną i nie tylko nie wyręczała się nikim, ale zawsze wszystkim służyć chciała.

W pokorze swojej myślała jednak, że źle służy P. Jezusowi i nie nie robi dla Jego chwały i zbawienia bliźnich. Gorliwość jej w wypełnianiu i najdrobniejszych przepisów reguły była podziwienia godną i widziałyśmy ją zawsze pierwszą na głos dzwonka, czy to do kaplicy czy na inne ćwiczenia spieszącą jak zwykle, mimo że nieraz bardzo jej było trudno porzucić zajęcie. — Świadoma celu swego, śmiało szła raz wytkniętą drogą, z której nie zbaczała nigdy dla względu ludzkiego, a tem bardziej dla dogodzenia sobie, umiała bowiem z niepospolitą energią łamać się i zwyciężać. P. Jezus w Najśw. Sakramencie był jedynym jej powiernikiem, każdą chwilkę wolną spędzała w kaplicy, a w nocy, gdy spać nie mogła, słychać było, że się modli. Różaniec i koronka były jej ulubionemi modlitwami.

W poźyciu z towarzyszkami była pełną uprzejmości, uczynności i tej delikatności w obejściu, która tak ułatwia i uprzyjemnia życie wspólne. S. Lewandowska umiała swoje „ja“ usunąć na ostatnie miejsce, byle spokój zachować, byle Bóg nie był obrażony. Nie było w niej jednak ani cienia obłudy; umiała śmiało wypowiadać swoje zdanie, zawsze nacechowane prawością i prostotą. Siostry znały ją z tego, i dlatego te, które chciały prawdę usłyszeć, prosiły ją o miłość duchowną, co też spełniała w duchu wiary z całą su-

miennością. Sama na konferencyach piątkowych, oskarżała się również z całą bezwzględnością. W umartwieniu była nader przemyślną. Wszystkie uwagi przez Siostry podane to samo powtarzają, że czy w zdrowiu czy w chorobie, dawała zawsze ze siebie zbudowanie, i podziwiano, jak w tej młodziutkiej i prostej duszy królowała łaska Boża. Powołanie swoje ceniła nad wszystkie skarby, miała szczerą, prawdziwą pokorę, którą czerpała w Regułach świętych i zasadach św. Wincentego. Gdy posłuszeństwo przeznaczyło ją wprost do usługi chorym, gorliwość jej w ich posłudze nie znała granic, nieraz i posługaczkę wyręczała, aby tylko jak najwięcej zebrać sobie zasług. Najpierwszą była do czuwania, a cbejście jej z chorymi było najdelikatniejsze; widać było, że widzi w nich samego P. Jezusa, to też chorzy bardzo ją lubili, a Dyrektor szpitala, w którym jakiś czas pozostawała, dowiedziawszy się, że już nie wróci, powiedział: „Szkoda, bo to prawdziwie dobra Siostra była“. — Gdy miała jakie słodycze, nigdy sama nie zjadła; nieraz wyrzuty jej z tego robiono, bo żal było, że sama nigdy nie zje; ale to już nie pomogło, bo tak długo prosiła, aż otrzymała na to pozwolenie. Pomimo, że była słabego zdrowia, pracowała nieustannie, nie dając się zastąpić, a do każdej pracy wspólnej była pierwszą. Kiedy zachorowała, zmuszona była pozostać jakiś czas w infirmeryi, a więc na wypoczynku, ale i wtedy z największą prostotą prosiła zaraz o jakie zajęcie mówiąc: „żebym choć troszkę na chleb zarobiła“. Pomagała Sioström Infirmierkom, ile jej siły pozwalały. Dla każdej chorej była zawsze pełną serdeczności i gotową na wszelkie usługi, ciesząc się, że tym sposobem może być Córką Miłosierdzia, nawet podczas choroby. Umartwienie i ducha ubóstwa i w infirmeryi praktykowała, a gdy jej dawano coś do wyboru w pożywieniu, prosiła zawsze o najprostsze. Nie można się też było domyśleć, które lekarstwo było jej mniej czy więcej wstrętne, tak potrafiła się umartwić; ale robiła to naiwnie, z prostotą i bez żadnej ostentacyi. — Będąc z natury żywą i czynną, musiała też mieć i silną wolę, złożywszy ją jednakże raz

P. Jezusowi w ofierze, była bardzo uległą i na wszystko miała tylko odpowiedź: „Dobrze, proszę Siostry“. — Wzmocniwszy się trochę, posłaną została znowu do szpitala, ale było to już ostatni raz, bo po kilku miesiącach powróciła do Domu Centralnego, aby na infirmeryi dokończyć życia i być zbudowaniem dla wszystkich. Gdy jej siostra młodsza, również Siostra Miłosierdzia, przysłała ją tam odwiedzić, po krótkiej rozmowie nagliła ją, aby powróciła do domu, bo tam obowiązki ją woła. Zdaje się, że i cnoty, składające ducha naszego powołania i będące przedmiotem ślubów świętych, były jej tak drogie, bo były jej obowiązkiem. Nic dziwnego więc, że bez trwogi widziała zbliżającą się śmierć, bo całe życie pracowała tylko dla Boga i szukała jedynie podobania się Jemu.

Ś. p. Siostra Teresa Janeczko.

O życiu S. Teresy Janeczko, znanej wszystkim dobrze jako „S. Teresa z pralni“, nie mamy tak wiele szczegółów, ale Pan Jezus, który powołując robotników do pracy, Sam im potem zapłatę przeznacza, niezawodnie nagroził zapłatą Swoją Siostrę, która do ostatniej chwili chciała być czynną w powierzonym jej urzędzie. — Chciała pracować, dopóki jej siły starczą; a choć one w ostatnich czasach wypowiadały nieraz posłuszeństwo, pomimo tego silna wola prowadziła ją codzien do pralni w Domu Centralnym, gdzie spędziła połowę swojego życia w Zgromadzeniu, bo 23 lat. Uciążliwy ten urząd, wypełniała z całym poświęceniem, służąc obydwu rodzinom św. Wincentego. Śmierć jej siostry zrobiła na niej wielkie wrażenie i często powtarzała, że i ona już nie długo pożyje. Jakoż, dnia 29. grudnia, wypowiadawszy się z zupełną przytomnością w kaplicy, uczuła, że ją siły opuszczają, prosiła wtedy jeszcze raz o rozgrzeszenie, mówiąc, że umiera. — Zaniesiono ją z kaplicy do pokoiku na dole, gdzie też została zaopatrzoną; poczem nie odzyskawszy już

wcale przytomności wydała ostatnie tchnienie. Śmierć taka, przerażająca na pozór, była jednak piękną nagrodą za tak pracowite życie. Widząc nieraz jej usposobienie szorstkie, niektóre może z tego powodu nie dosyć oceniały jej poświęcenie, lecz koniec jej, z bronią w rękę, był dowodem, że dusza jej miłą być musiała P. Jezusowi, który tę wierną sługę Swoją prawie bez konania do siebie powołał.

Zmarli Misyjonarze:

- Br. Placyd Meazza, 16 marca w Scarnafigi (prow. turyńska; żył lat 67, w Zgromadzeniu 36.
- Ks. Józef Scialó, 25 marca, w Neapolu, żył lat 82, w Zgromadzeniu 34.
- Ks. Rajmund Duchemin, 13 kwietnia, w Paryżu; żył lat 78, w Zgromadzeniu 55.
- Ks. Karol Flandorfer, 12 kwietnia, we Wiedniu; żył lat 73, w Zgromadzeniu 51.
- Ks. Jerzy Dehouck, 20 kwietnia, w Pekinie; żył lat 33, w Zgromadzeniu 10.
- Ks. Marcin Whitty, 22 kwietnia, w Sheffield (prow. irlandzka) żył lat 52, w Zgromadzeniu 32.
- Ks. Teofil de la Vinda, w kwietniu, w Terruel (prow. madrycka) żył lat 56, w Zgromadzeniu 38.
- Ks. Piotr Genta, 26 kwietnia, w Sassari (prow. turyńska); żył lat 35, w Zgromadzeniu 10.
- Br. Karol Salmutter, 1 maja, w Gracu; żył lat 32, w Zgromadzeniu 11.

SKARB DUSZY.

Jest to książeczka do modlitwy dla młodzieży. Treść jej, obejmująca mnóstwo najpotrzebniejszych i najbardziej używanych modlitw i nabożeństw, jak: litanie, modlitwy poranne i wieczorne w czasie Mszy św., Nabożeństwo Różańcowe, Godzinki, Drogi krzyżową i t. p., a przytem niewielki format i objętość (48, str. 212) oraz przystępna cena, powinny ją wszystkim zalecić, jako bardzo udatny podarek dla młodzieży szkolnej.

Cena egzemplarza ozdobnie oprawnego 1.40 Kor. (Mk.),

„ „ w płótno „ 80 hal. (fen.).

Tensam modlitewnik z osobnym wstępem i dodatkiem pod napisem :

PRZEWODNIK SODALICYI MARYAŃSKIEJ.

Cena egzemplarza ozdobnie oprawnego 1.50 Kor. (1.50 Mk.);

oprawnego w płótno 1 Kor. (1 Mk.).

Tenże modlitewnik z nowym wstępem, p. t.:

USTAWY TOWARZYSTWA ŚW. WINCENTEGO a PAULO.

Jest to praktyczny podręcznik oraz wygodna książeczka do modlitwy dla członków Konferencyj

Cena egzemplarza oprawnego w płótno 1 Kor. (Mk.).

Polecamy wszystkim nowenny :

1) do Najśw. Serca Jezusowego p. t.:

Najśw. Serce Jezusowe, zmiłuj się nad nami!

Cena 50 hal. (fen.)

2) do Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi p. t.:

O Maryo bez grzechu poczęta, módl się za nami!

Cena 40 hal. (fen.)

3) do Św. Józefa p. t.:

Święty Józefie, módl się za nami!

Cena 40 hal. (fen.)

